

ARMEŃSKA REWOLUCJA

NIEDOKOŃCZONY RAPORT

PIOTR A. ŚWITALSKI



Rzeczpospolita Polska
Ministerstwo
Spraw Zagranicznych



PIISM

POLSKI INSTYTUT SPRAW MIĘDZYNARODOWYCH
THE POLISH INSTITUTE OF INTERNATIONAL AFFAIRS

POLSKI INSTYTUT SPRAW MIĘDZYNARODOWYCH

**ARMEŃSKA REWOLUCJA:
NIEDOKOŃCZONY RAPORT**

PIOTR A. ŚWITALSKI

WARSZAWA 2020

© Copyright by Ministerstwo Spraw Zagranicznych
& Polski Instytut Spraw Międzynarodowych, Warszawa 2020



Rzeczpospolita Polska
Ministerstwo
Spraw Zagranicznych



PISM

POLSKI INSTYTUT SPRAW MIĘDZYNARODOWYCH
THE POLISH INSTITUTE OF INTERNATIONAL AFFAIRS

Niniejsza publikacja przedstawia jedynie poglądy autora i nie może być utożsamiana z oficjalnym stanowiskiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Zdjęcie na okładce

Klasztor Chor Wirap – panorama o wschodzie słońca przed górą Ararat, Armenia; Shutterstock.com

Redakcja tekstu i korekta

Katarzyna Staniewska

Redakcja techniczna i projekt okładki

Dorota Dołęgowska

ISBN 978-83-66091-56-6 (pb)

ISBN 978-83-66091-57-3 (pdf)

Wydawca

Polski Instytut Spraw Międzynarodowych,

ul. Warecka 1a, 00-950 Warszawa

www.pism.pl

Druk

Centrum Poligrafii Sp. z o.o.

ul. Łopuszańska 53, 02-232 Warszawa

Dwa lata temu „The Economist” ogłosił Armenię krajem roku. Co skłoniło globalny tygodnik opiniotwórczy do postawienia małego i peryferyjnego kraju w tak prominentnej roli? Powodem była oczywiście rewolucja, która dokonała się tamtego roku w Armenii. Najczęściej nazywana „aksamitną rewolucją”. Ale także: rewolucją „odrzuć Serża”, „rewolucją miłości”, „tenisówkową rewolucją”. Nigdy wszakże nie próbowano jej określać rewolucją kolorową. Niektórzy armeńscy politycy nie nazywali jej w ogóle rewolucją, nawet kiedy się rozgrywała. Inni co prawda mówili o niej wtedy jako o rewolucji, ale od tamtej pory zmienili zdanie.

Dwa lata po tym wydarzeniu wciąż może wydawać się zbyt wcześnie, aby ocenić rewolucję i jej skutki. Dyplomaci służący w tym czasie w Armenii przesyłali mnóstwo raportów i analiz na ten temat. W epoce przedcyfrowej nazywano je depeszami, clarisami, notatkami. Teraz są to po prostu dyplomatyczne e-maile – niekiedy lepiej chronione niż zwykle, ale czasem słane jako zwykłe outlookowe wiadomości.

Wyzwanie stojące przed dzisiejszymi dyplomatami polega na tym, że nie są już oni głównym źródłem informacji na temat wydarzeń w obcym kraju. Nie mogą już konkurować z szybkością mediów społecznościowych i tempem cyklu medialnego.

Jeśli wydarzy się coś dramatycznego, władze w kraju mogą obejrzeć zdjęcia i zapisy wideo, poznać komentarze polityków i ekspertów, ocenić reakcję opinii publicznej, zanim dyplomata będzie w stanie wysłać jakąkolwiek własną wiadomość do centrali. I prawdopodobnie nie powinien się on ściągać z mediami społecznościowymi czy środkami masowego przekazu. Oczywiście zawsze pozostanie dyplomacie zadanie opisywania faktów, poglądów i opinii ukrytych przed opinią publiczną, a także dzielenie się wiedzą o dyplomatycznych plotkach. Jego osąd może mieć nadal większy wpływ na postrzeganie wydarzeń przez decydentów niż komentarze mediów. Ale główną rolą dyplomaty powinno być raczej ocenianie wydarzeń ze strategicznej, dalekosiężnej perspektywy. A co najważniejsze – przygotowywanie odbiorców notatek na przyszłe wydarzenia, formułowanie rekomendacji co do linii politycznej, jaką powinien przyjąć jego kraj wobec opisywanych procesów.

Lecz strategiczna analiza wymaga czasu. A globalny kołowrót wydarzeń politycznych nie pozwala decydentom w kraju wracać ponownie do analiz przeszłych wydarzeń. Każdy dzień rozpoczynają oni bowiem z nowym tematem politycznym, muszą stawiać czoła nowym kryzysom politycznym i nowym wyzwaniom. Żyją w nadmiernie rozciągniętej terażniejszości, wszechogarniającym „teraz”, przytłaczającym inne perspektywy czasowe.

Większość analitycznych depech pozostaje więc niedokończona. Po ich wysłaniu niewiele jest potem okazji do ich uzupełnienia. A i nie ma nawet ku temu zapału. Harold Wilson mawiał, że w polityce tydzień to szmat czasu. Dzisiaj wszakże w polityce międzynarodowej szmatem czasu stał się dzień.

Wydarzenia w Armenii wiosną 2018 r. były zjawiskiem całkiem wyjątkowym, nawet jak na światowe standardy. Zwykli ludzie w odległych zakątkach świata mogli odkryć dla siebie Armenię przez pryzmat tych wydarzeń. Czy coś z tego wciąż pozostaje w ich pamięci? Czy przemiany, jakie dokonały się w Armenii, nadal mają jakiegokolwiek znaczenie dla regionu czy Europy?

Nawet dwa lata po rewolucji nikt nie może domagać się ostatecznej odpowiedzi. Punktem wyjścia dla niniejszych rozważań jest to, że ta odpowiedź wciąż ma znaczenie.

KONTEKST DYPLMATYCZNY

Autor tego eseju sprawował w latach 2015–2019 funkcję ambasadora, szefa delegatury Unii Europejskiej w Armenii. Jest zawodowym dyplomatą, ambasadorem tytularnym w polskiej służbie dyplomatycznej. Dołączył do Europejskiej Służby Działań Zewnętrznych na podstawie umowy czasowej na wykonanie zadania w Armenii.

Służba dyplomatyczna Unii Europejskiej znajduje się nadal do pewnego stopnia w procesie tworzenia. Europejska Służba Działań Zewnętrznych (ESDZ) została ustanowiona na mocy traktatu lizbońskiego, aby wspierać wysokiego przedstawiciela do spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa w wykonywaniu jego obowiązków. Zgodnie z traktatem z Lizbony: „Służba ta współpracuje ze służbami dyplomatycznymi Państw Członkowskich i składa się z urzędników właściwych służb Sekretariatu Generalnego Rady i Komisji, jak również

z personelu delegowanego przez krajowe służby dyplomatyczne”. Rozpoczęła swoją działalność 1 grudnia 2010 r.

Jest to już obecnie solidna i dobrze zorganizowana struktura zatrudniająca około 4000 pracowników statutowych i zewnętrznych w centrali oraz w 140 delegaturach na całym świecie. Ale swoją tożsamość wciąż musi rozwijać.

Silną tendencją ostatnich lat, forsowaną w szczególności przez urzędników zatrudnionych jako pracownicy tymczasowi z krajowych służb dyplomatycznych państw członkowskich, jest nadawanie ESDZ profilu działania właściwego typowej narodowej służbie dyplomatycznej. Odnosi się to przede wszystkim do funkcjonowania placówek dyplomatycznych UE – delegatur.

Delegatury wykonują z pewnymi wyjątkami funkcje podobne do zwykłych ambasad. W odróżnieniu od nich nie mają wydziałów konsularnych i nie realizują czynności konsularnych. Służą jednak jako lokalne platformy koordynacji krajów strefy Schengen i koordynacji konsularnego zarządzania kryzysowego. Nie mają także attachatów wojskowych i personelu wojskowego. Jednakże w niektórych delegaturach rozmieszczono personel mający specjalistyczną wiedzę w zakresie bezpieczeństwa militarnego.

Polityczna waga delegatur wynika z ich roli jako lokalnej prezydencji UE, jak to określono w traktacie lizbońskim. Rutynowe funkcje polityczne delegatur niewiele różnią się od zwykłych ambasad. Monitorują one sytuację polityczną w kraju akredytacji, zbierają informacje, przygotowują raporty i służą jako kanał komunikacji między Brukselą a instytucjami państwa przyjmującego. Rola prezydencji pociąga za sobą

dotatkowe funkcje, związane głównie z wyzwaniem polegającym na koordynowaniu stanowisk państw członkowskich i inicjowaniu wspólnych działań. W niektórych stolicach uzgodnienie wspólnego (a przy tym znaczącego) stanowiska wszystkich państw członkowskich jest iście syzyfową pracą. Nie dotyczyło to wszakże na szczęście Erywanii.

Rodzina dyplomatyczna Unii Europejskiej w Erywanii jest niewielka – składała się na koniec 2019 r. łącznie z 11 stałych przedstawicielstw dyplomatycznych i była pod tym względem najmniejsza liczebnie na całym obszarze europejskim. Istnieją oczywiście zrozumiałe różnice w postrzeganiu sytuacji lokalnej między państwami członkowskimi. Czasami są one podyktowane specyfiką ich dwustronnych relacji. Jednak w ostatnich latach lokalna europejska rodzina ambasadorów w Erywanii utrzymywała dość niezwykłą zbieżność poglądów na temat wydarzeń w Armenii i wokół niej. Wszelkie różnice były sprawnie usuwane w trakcie dyskusji i konsultacji. Jest bardziej niż oczywiste, że taka bliskość poglądów tylko wzmocniła pozycję Unii Europejskiej.

Pod pewnymi względami Erywanii można nazwać wyjątkowym pod względem harmonii poglądów europejskich. Jak można przypuszczać, stoi za tym fakt, że w żadnym państwie członkowskich kraj ten nie był uważany za szczególnie priorytet. W związku z tym lokalni dyplomaci mieli dość dużą przestrzeń dla własnej inicjatywy i byli w stanie kształtować skutecznie ocenę swojej centrali. Niezależnie od powodów wizerunek Unii Europejskiej jako podmiotu zbiorowego w Armenii był dość wyrazisty.

Bywały przed rewolucją sytuacje, kiedy niektórzy armeńscy urzędnicy próbowali sugerować, że oceny przedstawiane przez szefa delegacji UE, którego podstawowym obowiązkiem jest pełnienie funkcji rzecznika przy wyrażaniu stanowisk zbiorowych, nie odzwierciedlały poglądów państw członkowskich. Próby te wszakże nie przyniosły rezultatu. Kilkakrotnie, gdy urzędnicy próbowali publicznie kwestionować wiarygodność szefa delegatury, ambasadorowie kluczowych państw członkowskich okazali silną solidarność z głosem delegatury UE. Taka solidarność tylko wzmacniała głos UE i czyniła ją kluczowym podmiotem międzynarodowym w Armenii.

Zbieżność poglądów niewątpliwie ułatwiała wspólne działanie. Unia Europejska była w stanie wydawać w minionych latach ważne oświadczenia polityczne na temat rozwoju sytuacji w Armenii. Rodzina dyplomatyczna UE regularnie spotykała się z najwyższymi armeńskimi urzędnikami i przekazywała im wspólne przesłanie. UE podejmowała zbiorowo inicjatywy w zakresie dyplomacji publicznej i firmowała wspólne wydarzenia związane z dyplomacją kulturalną.

Dla niektórych obserwatorów ta silna jedność polityczna, prezentowana w Armenii, jest raczej wyjątkiem niż regułą w globalnym obrazie funkcjonowania Unii. Prawdopodobnie tak jest w istocie. Nie jest tajemnicą, że w świecie są stolice, w których nie sposób zbudować w kręgu UE znaczącego wspólnego mianownika poglądów. To fakt poza dyskusją. Innym wyzwaniem bywa synchronizacja stanowisk uzgodnionych w różnych grupach roboczych Rady w Brukseli z instrukcjami otrzymywanymi przez przedstawicieli dyplomatycznych ze swoich central. Można przywołać przypadek, gdy ambasadorowi jednego z państw członkowskich w jednej ze stolic zwrócono

uwagę, że jego stanowisko kłóci się ze wspólnym stanowiskiem wypracowanym w Brukseli. Odpowiedział on, że owo wspólne stanowisko odzwierciedla poglądy uzgodnione w Brukseli i poza Brukselą nie obowiązuje. Można mieć nadzieję, że z czasem do podobnych zdarzeń dochodzić nie będzie. Koordynacja i harmonizacja na wszystkich poziomach i na wszystkich platformach dyplomatycznych pozostanie zawsze kluczem do skuteczności działania Unii.

Wspólna polityka zagraniczna Unii Europejskiej wciąż budzi wiele krytyki. Tak samo jak efektywność urzędu jej wysokich przedstawicieli do spraw polityki zagranicznej.

Duże państwa UE są obwiniane o bezwzględne narzucanie ich własnej agendy i linii polityki zagranicznej, a także o wykorzystywanie mechanizmu wspólnej polityki zagranicznej głównie do celów pedagogicznych – w celu dostosowania linii mniejszych państw UE do ich poglądów. Małe państwa członkowskie UE są z kolei krytykowane za zaściankowość i wotokrację, czym rzekomo opóźniają wypracowanie wspólnego mianownika, ponawiając swoje partykularne żądania i forsując egoistyczne interesy. I rzeczywiście, każdy znawca UE może przytoczyć przekonujące przykłady dla obu rodzajów zjawisk. Czasami wszakże podobne przypadki są po prostu nieproporcjonalnie wyolbrzymiane. W pewnym stopniu jest to uzasadnione. Unia Europejska jest stosunkowo dużą i zróżnicowaną grupą państw. A polityka zagraniczna (dyplomacja) pozostaje postrzegana jako jeden z klejnotów koronnych suwerenności państwa.

Jednocześnie wspólna polityka zagraniczna Unii ma niezaprzeczalne osiągnięcia. Jednym z najtrudniejszych testów była

wojna na Ukrainie i polityka wobec Rosji. Fakt, że pomimo tak wielu nacisków Unia Europejska była w stanie dochować wierności swoim zasadom, utrzymywać sankcje i wspierać integralność terytorialną Ukrainy, zasługuje na więcej niż tylko uznanie. Wśród osiągnięć wspólnej polityki należy odnotować fakt, że wysocy przedstawiciele UE odegrali wiodącą rolę w negocjowaniu irańskiego porozumienia nuklearnym, a także w procesie normalizacji między Kosowem i Serbią. Jednakże wysocy przedstawiciele nie uczestniczą w formacie normandzkim dotyczącym Ukrainy czy w grupie mińskiej ds. Górskiego Karabachu. Niektórzy obserwatorzy utrzymują, że obecność przedstawicieli UE w kluczowych formatach negocjacji i mediacji jest warunkiem koniecznym zbudowania odpowiedniej pozycji politycznej i dyplomatycznej UE jako kolektywnego podmiotu dyplomacji globalnej.

Są eksperci, którzy twierdzą, że najlepszym katalizatorem wspólnej polityki zagranicznej byłoby wspólne stałe miejsce UE w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Trudno się z tym nie zgodzić, nawet jeśli nie wydaje się to realistyczną opcją w dającej się przewidzieć przyszłości. Ale ogólnie rzecz biorąc, jeśli Unia Europejska i jej państwa członkowskie mają zarezerwowane tylko jedno miejsce i jeden mikrofon przy stole, presja na mówienie jednym, wspólnym głosem jest znacznie większa. I jeśli przywódcy krajów Unii Europejskiej poważnie traktują swoje własne deklaracje, że chcą postrzegać Unię Europejską jako globalnego gracza na równi z USA i Chinami, muszą się do mówienia jednym głosem przyzwyczać.

Na polu europejskiej polityki bezpieczeństwa i obrony odnotowano również znaczny postęp. Unia Europejska od 2004 r. rozmieściła ponad 20 misji wojskowych i cywilnych na

wszystkich kontynentach świata. Niektórzy eksperci uważają jednak, że wspólna polityka zagraniczna i bezpieczeństwa może nabrać znaczenia tylko wtedy, gdy Unia Europejska zbuduje własną armię i opracuje szczegółową wspólną doktrynę obrony.

Wielkie pytanie polityczne brzmi dziś: jak daleko powinien rozciągać się ten wspólny europejski głos w polityce międzynarodowej? W pewnym sensie odpowiedź na to pytanie wynika z różnych oczekiwań poszczególnych państw członkowskich co do przyszłego rozwoju integracji europejskiej. Te kraje i kręgi polityczne, które dążą do większej integracji, będą nalegały na wzmocnienie wspólnej polityki zagranicznej i jej instytucji. Zwolennicy mniej integracyjnego podejścia pozostaną ostrożni. Niemniej jednak, nawet przy obecnej różnorodności podejść poszczególnych państw, potencjał wspólnego mianownika jest znaczny. Jak widać w codziennej praktyce dyplomatycznej UE w wielu stolicach na całym świecie, państwa członkowskie z reguły chętnie mówią jednym głosem i za pośrednictwem jednego mikrofonu UE w kwestiach związanych z prawami człowieka, demokracją, praworządnością. Dotyczy to w szczególności miejsc, w których takie tematy jawią się jako dość niewygodne i mogą komplikować bilateralne relacje państw członkowskich z krajem urzędowania. Można powiedzieć, że polityczna wygoda jest największym motorem zbiorowych działań UE. Kiedy partner słyszy nieprzyjemne wiadomości dostarczane pod flagą UE, potem jest mu niewątpliwie trudniej „odgrywać się” w relacjach dwustronnych z poszczególnymi państwami.

Skłonność do mówienia jednym głosem jest również silna w kwestiach globalnych, takich jak polityki handlowe (w których Komisja Europejska ma swoje prawnie określone prerogatywy), ochrona środowiska naturalnego, zmiany klimatyczne,

pomoc rozwojowa. W tych kwestiach działanie jako jeden blok jest w ogóle warunkiem bycia istotnym graczem w rozgrywce globalnej.

Niekiedy mówienie wspólnym głosem może diametralnie zmienić układ sił w organizacjach międzynarodowych. Dobrym przykładem jest Rada Europy. Unia Europejska, przy wsparciu niektórych krajów kandydujących, może uzyskać niezbędną większość głosów i przesądzić decyzję w każdej istotnej sprawie w Komitecie Ministrów. Nic dziwnego, że pewien poprzedni sekretarz generalny Rady Europy (pochodzący z kraju spoza UE) próbował uzyskać od przywódców Unii Europejskiej obietnicę, że nie rozciągnie ona mechanizmów wspólnej polityki zagranicznej UE na Radę Europy i nigdy nie będzie działała tam jako jeden blok. Unia Europejska jako zwarty podmiot jest niewątpliwie nadal koszmarem politycznym dla niektórych partnerów UE, o czym świadczą wypowiedzi publiczne pewnych przywódców państw.

Ów wspólny głos powinien oczywiście być inicjowany z Brukseli. Bez wątpienia niektórzy przywódcy państw członkowskich zawsze będą mieli ochotę grać rolę rzeczników Europy w swoich globalnych kontaktach. Z drugiej strony inni przywódcy państw nie przegapią okazji, by publicznie dystansować się od Brukseli, nawet jeśli formalnie w pełni będą się identyfikować ze wspólnym stanowiskiem. Takie atawizmy są naturalne i szybko nie zanikną. Jednak im silniejsze i bardziej charyzmatyczne przywództwo funkcjonariuszy i instytucji z siedzibą w Brukseli, tym większe szanse na znaczący głos europejski w świecie.

Wielu ekspertów ubolewało, że państwa członkowskie, powołując wysokich przedstawicieli do spraw polityki zagranicznej, unikają stawiania na polityków wagi ciężkiej. Kluczowym kryterium wyboru jest z reguły równowaga między rodzinami politycznymi. W rezultacie od kilkunastu dobrych lat to kandydaci Europejskiej Partii Socjalistycznej obejmowali kierownictwo dyplomacji UE (Borrell, Mogherini, Ashton, a wcześniej Solana). To, w jaki sposób ich afiliacja polityczna wpłynęła na ich poglądy na temat polityki zagranicznej w trakcie pełnienia funkcji, może być jedynie przedmiotem spekulacji. Takie spekulacje pojawiają się od czasu do czasu. Uważa się, że jak dotąd najbardziej widoczny wpływ osobowości w działaniach politycznych jako wysokiego przedstawiciela dał się odczuć w przypadku Javiera Solany.

Do tej pory funkcja wysokiego przedstawiciela pozostawała poza zasięgiem Europy Środkowej i Wschodniej – nikt stamtąd nie został wybrany na to stanowisko. Czy ma to znaczenie? A czy można sobie wyobrazić pochodzącego z tego regionu polityka, który na dorocznej konferencji ambasadorów UE w ostatnich latach wygłosiłby 45-minutowe przemówienie programowe bez omówienia roli Rosji, a nawet bez wymienienia jej z nazwy?

Można argumentować, że bez silnej i charyzmatycznej osobowości w roli wysokiego przedstawiciela zdolność dyplomacji UE do inicjowania wspólnych działań pozostanie ograniczona. Wysoki przedstawiciel prowadzący dialog polityczny z innymi wiodącymi partnerami światowymi, ograniczając się do recytacji biurokratycznie sformułowanych tez (czyli tzw. LTT w terminologii brukselskiej), nie wygeneruje zbyt dużej wartości dodanej.

Kiedyś Kissinger domagał się podania mu numeru telefonu, pod który mógłby zadzwonić, kiedy chciał rozmawiać z Europą. Ale nie chodziło mu przecież o to, że zadowoliliby się jedynie usługą poczty głosowej.

Główna odpowiedzialność za właściwy profil i ambitne aspiracje wysokiego przedstawiciela spoczywa na kluczowych państwach członkowskich. Bez ich wyraźnego przekonania co do konieczności wzmocnienia profilu i urzędu wysokiego przedstawiciela wszystkie rozmowy o bardziej solidnej wspólnej polityce zagranicznej Unii pozostaną jałowe.

Jedną ze słabości strukturalnych Europejskiej Służby Działań Zewnętrznych jest brak warstwy politycznej urzędników bezpośrednio poniżej stanowiska wysokiego przedstawiciela. Ma on tyle zobowiązań, że jest ewidentnie niemożliwe zapewnienie jego obecności na wszystkich spotkaniach i konferencjach wymagających szczebla politycznego. Państwa członkowskie zwykle mają do dyspozycji sekretarzy stanu, podsekretarzy stanu, asystentów sekretarzy i innych funkcjonariuszy uważanych za osoby polityczne, którzy mogą zastępować ministra spraw zagranicznych. W Unii Europejskiej wypróbowano różne modele zastępstwa wysokiego przedstawiciela na wydarzeniach politycznych – czynili to ministrowie spraw zagranicznych krajów sprawujących rotacyjną prezydencję, inni komisarze czy sekretarz generalny ESDZ. Żadna z tych opcji nie okazała się z różnych powodów zadowalająca.

Bardziej istotnym skutkiem braku ogniwa politycznego jest jednak to, że niekiedy w działaniach ESDZ biurokratyczne rozumowanie bierze górę nad myśleniem politycznym, w szczególności w tych kwestiach, które nie są przedmiotem

bezpośredniego zainteresowania wysokiego przedstawiciela lub jego gabinetu.

Można by postawić pytanie: czy jest w ogóle o co kruszyć kopie? Myślenie polityczne powinno być generowane w dyplomacjach narodowych państw członkowskich. To one powinny zadbać o to, aby aktualne wytyczne polityczne napędzały działalność Europejskiej Służby Działań Zewnętrznych. Jednak dla skuteczności jej codziennych działań niezbędna jest tam obecność grupy menedżerów zdolnych i chętnych do podjęcia ryzyka myślenia politycznego. Nawet najbardziej zdolna i merytoryczna biurokracja nie zastąpi braku myślenia politycznego.

Urzędnicy – biurokraci, w najlepszym, weberowskim tego słowa znaczeniu – starają się zawsze unikać rozstrzygania politycznych łamigłówek. Tam, gdzie politycy widzą szansę, oni widzą z reguły tylko ryzyko.

Nie raz, nie dwa menedżerowie ESDZ próbowali odkładać ponad miarę decyzje, które uważali za politycznie ryzykowne. Nic podobnego nie zdarzyłoby się w żadnym ministerstwie spraw zagranicznych kluczowego państwa członkowskiego.

Dobre, profesjonalne zarządzanie ma zasadnicze znaczenie dla każdej służby dyplomatycznej. Jest wszakże częstokroć niezbędne, aby Europejska Służba Działań Zewnętrznych podwyższała swoje ambicje, wykraczając poza zwykłe biurokratyczne zarządzanie. Zawsze powinna przy tym działać w harmonii z państwami członkowskimi. Oczywiście w gmachu przy Rondpoint Schuman w Brukseli wciąż pracują komisyjne wygi, którzy tęsknią za czasami istnienia DG RELEX Komisji, kiedy mieli pełne poczucie niezależności w działaniu od poglądów państw członkowskich. Ale czasy te minęły i nie wróca. ESDZ

nie sposób oddzielić od państw członkowskich, ale jednocześnie może ona wykazywać niezbędną inicjatywę polityczną.

Unia Europejska dysponuje teraz większą liczbą przedstawicielstw dyplomatycznych niż jakiegokolwiek pojedyncze państwo członkowskie. Nadal występują wszakże pewne problemy strukturalne wpływające na wydajność pracy delegatur. Najważniejszym z nich jest dualizm budżetów, procedur i stanów etatowych. Delegatury realizują zadania w ramach dwóch budżetów: jednym pochodzącym z Komisji Europejskiej, a drugim z ESDZ; część personelu jest delegowana przez Komisję i jej podlega, a część jest rekrutowana przez ESDZ. Procedury oceny pracy personelu są również dwoiste, podobnie jak procedury decyzyjne. Dobrą rzeczą jest to, że szefowie delegatur mają podwójne upoważnienie i działają zarówno z mandatu Komisji, jak i ESDZ. Ale niekiedy ta dość sztywna dwoistość może być źródłem problemów, w szczególności w sytuacjach, w których elastyczność i synergia są szczególnie potrzebne.

Cokolwiek mówiono by o zmieniających się obecnie warunkowaniach dyplomacji międzynarodowej, decydujące znaczenie dla skuteczności dyplomacji w wydaniu unijnym ma lokalna reprezentacja UE. A w niej kluczową rolę odgrywa stanowisko ambasadora. Proces selekcji na funkcję ambasadora unijnego jest dość długi i złożony. Komplikuje go wymóg przestrzegania wszystkich niezbędnych kwot i proporcji – instytucjonalnej (kwota 30% dla narodowych dyplomatów), narodowej (sprawiedliwe odzwierciedlenie wielkości poszczególnych państw członkowskich), płci. Czyni to cały proces dość wymagającą układanką. Dodatkowo komplikuje go bardzo intensywny lobbing polityczny państw członkowskich wobec obsady niektórych stanowisk. Można więc czasami odnieść

wrażenie, że w efekcie bardziej liczy się dobra, możliwa do obrony ogólna statystyka, a nie walor indywidualnych nominacji. Wprawdzie kwoty płci i kwoty instytucjonalne nie budzą dziś w zasadzie krytyki, jednakże proporcje nominacji między państwami wciąż rodzą wiele pytań. Uważa się, że niektóre kraje są nadmiernie reprezentowane przy obsadzie stanowisk ambasadorskich w niektórych regionach. Tak się na przykład złożyło, że trzy z siedmiu stanowisk ambasadorskich w Europie Wschodniej były obsadzone na koniec 2019 r. przez dyplomatów jednego i tego samego państwa członkowskiego UE.

Pobocznym skutkiem tej procedury jest to, że każdego roku sporo urzędników Komisji, Rady lub ESDZ, którzy nie mieli wcześniejszego doświadczenia ambasadorskiego, a nawet żadnego doświadczenia dyplomatycznego, obsadza znaczną liczbę stanowisk ambasadorskich. Co prawda można powiedzieć, że podobna sytuacja ma miejsce w niektórych krajowych służbach dyplomatycznych, gdzie na stanowiska ambasadorskie mianowani są polityczni nominaci i funkcjonariusze spoza MSZ. Jeśli wszakże oczekuje się od lokalnego ambasadora UE czegoś więcej niż tylko czysto menedżerskiej roli, a jego umiejętności polityczne nie były wcześniej testowane, może to urastać do rangi problemu. Rzecz nie w tym, skąd przychodzą kandydaci na stanowiska ambasadorskie. W końcu to tylko zawód jak inne, żadnej w nim gnozy. Chodzi wszakże o konieczność rozwijania i sprawdzania szczególnych cech, które powinien mieć każdy ambasador pełniący funkcję politycznego lidera w ramach grupy ambasadorów państw unijnych.

Zdolności menedżerskie i technokratyczna wiedza są uważane w Brukseli za najważniejsze kryteria selekcji. Są one rzeczywiście ważne. Komisja Europejska w szczególności oczekuje, by

szefowie delegatur byli w stanie osobiście nadzorować ogromne programy pomocy rozwojowej, a nawet nimi zarządzać. Ale czasami te czysto technokratyczne kwalifikacje nie wystarczą, gdy ambasador UE musi działać w politycznie wrażliwym otoczeniu i stać się prawdziwym lokalnym liderem dla unijnej rodziny dyplomatycznej.

Zdolności polityczne są z reguły mniej przydatne w krajach, w których ambasador nie ma żadnych kontaktów roboczych z przywódcami kraju, spotyka się najwyżej raz w roku z ministrem spraw zagranicznych, a poza tym krąży jedynie na dyplomatycznych rautach i koktajlach lub towarzyszy wizytującym delegacjom z Brukseli. Nie są one również tak istotne, gdy funkcje dyplomacji publicznej są ograniczane przez państwo przyjmujące. Ale jeśli oczekuje się, że ambasador UE będzie kolektywnym przywódcą, odgrywając rolę *primus inter pares* wśród ambasadorów państw członkowskich, kompetencje polityczne stają się kluczowe dla osiągnięcia znaczących wyników w jego pracy.

Niektórzy sfrustrowani (bo nie wybrani na stanowiska, na które aplikowali), ale mocni (ze względu na swoje doświadczenie dyplomatyczne) kandydaci ze służb krajowych nie raz narzekali, że w zdecydowanej większości przypadków proces selekcji preferuje kandydatów na stanowiska ambasadorskie ze średniego szczebla menedżerskiego (kierownika działu) Komisji lub innych instytucji. Prawdopodobnie było to bezpieczne rozwiązanie, gdy delegatury były placówkami DG RELEX. Dziś taka skłonność ku średniemu szczeblowi wygląda dość anachronicznie.

Z drugiej strony prawdą jest, że w niektórych stolicach krajowych silni i charyzmatyczni ambasadorzy UE nie są szczególnie mile widziani przez swoich kolegów z państw członkowskich. W niektórych miejscach ten czy ów ambasador państwa członkowskiego chciałby nawet kontrolować kontakty ambasadora UE i treść jego rozmów. Te próby są wszakże coraz bardziej skazane na niepowodzenie.

Ale jedną z najbardziej istotnych strukturalnych przeszkód w podniesieniu delegatur UE do bardziej politycznie ważkiej roli są zbyt skąpe liczebnie wydziały polityczne w większości delegatur UE na całym świecie. Delegatura w Armenii jest jednym z wielu takich przykładów. Sekcja polityczna działająca w sile dwóch urzędników dyplomatycznych i dwóch pracowników miejscowych, odpowiedzialna za przygotowywanie licznych raportów (politycznych, tematycznych, rocznych, kwartalnych i miesięcznych itd.), inicjująca lokalne działania polityczne i medialne w wielu konkretnych sprawach, odpowiedzialna za utrzymywanie kontaktów z licznymi lokalnymi partnerami, w tym z organizacjami międzynarodowymi i społeczeństwem obywatelskim, poradzić sobie może z tymi zadaniami z największym trudem. W szczególności, kiedy ambasady państw członkowskich oczekują, że delegatura UE będzie zawsze lepiej poinformowana i działać będzie w ich wspólnym imieniu, a nawet nieść im pomoc. A nie było nawet budżetu na zatrudnienie lokalnych analityków, ekspertów do spraw politycznych i bezpieczeństwa. Porównanie liczebności sekcji politycznej UE ze stanami osobowymi sekcji politycznych innych dużych graczy, takich jak USA, Chiny, nie mówiąc już o Rosji, zawsze musi prowadzić do smutnego wniosku.

Bez solidnej liczby kompetentnych urzędników dyplomatycznych w terenie nie można w długiej perspektywie wygrywać znaczących dyplomatycznych starć o globalnym znaczeniu. Niemniej sporadyczne sukcesy są nadal możliwe.

DŹWIGNIA WPŁYWU

Armenia jest jednym z krajów, w których główną dźwignią wpływu, jaką dysponuje Unia Europejska, jest pomoc rozwojowa. Wkład Unii Europejskiej i jej państw członkowskich stanowił około 60% całej pomocy zagranicznej dla Armenii w ostatnich latach.

W krajach Partnerstwa Wschodniego w których deklarowanym ostatecznym celem politycznym kręgów rządzących jest integracja z Unią Europejską, jak choćby w przypadku Gruzji, Mołdawii czy Ukrainy, polityczna „marchewka” może niekiedy w codziennej działalności Unii Europejskiej znaczyć więcej niż ekonomiczne zachęty, np. pomoc rozwojowa. Kraje te bardzo dbają o dobry wizerunek polityczny uzasadniający wiarygodność ich aspiracji. Zbyt silna krytyka ze strony Unii Europejskiej w przypadku niezadowolającego stanu reform podważyłaby pozycję polityczną tych elit w wymiarze wewnątrz krajowym. Elity proeuropejskie w tych krajach wołałyby tego uniknąć. Czynniki ten daje Unii silny głos w takich kwestiach, jak walka z korupcją, stan demokracji i wolnych mediów, niezależność sądownictwa, neutralność i efektywność służby cywilnej.

Armenia nigdy nie zadeklarowała, że widzi swoją przyszłość w Unii Europejskiej. Jednakże wielokrotnie zapewniała, przed

rewolucją i po niej, że podziela z Unią Europejską wspólne wartości. Zapewnienia te potwierdzały, że dla Armenii ważne pozostawało zbudowanie dobrego wizerunku na Zachodzie, również dla równoważenia wektorów polityki zagranicznej, biorąc pod uwagę silną zależność tego państwa w kwestiach bezpieczeństwa od sojuszu z Rosją. Przed rewolucją potrzebowało ono dodatkowo pozytywnych ocen ze strony Zachodu na użytek propagandy wewnętrznej. Jak zauważył przed rewolucją jeden z armeńskich działaczy społeczeństwa obywatelskiego: „z powodu słabej legitymacji wewnętrznej reżim potrzebował silnej legitymacji zewnętrznej”.

Ponad wszystko zaś – z uwagi na trudną sytuację gospodarczą w ostatnich latach – kolejne rządy Armenii były żywotnie zainteresowane otrzymaniem zagranicznej pomocy rozwojowej.

W 2019 r. dwustronna pomoc rozwojowa dla Armenii z Unii Europejskiej przekroczyła 70 milionów euro w wymiarze rocznym. Było to około dwa razy więcej niż kwota przydzielana Armenii jeszcze trzy lata wcześniej. Od czasu uzyskania niepodległości przez Armenię Unia Europejska przekazała jej łącznie ponad 0,5 miliarda euro.

W Brukseli mawia się, że unijna pomoc to nie działalność charytatywna. Nie chodzi w niej bynajmniej o łagodzenie wyrzeczeń, jakich doświadcza każdy biedny kraj, nawet jeśli Armenia przez wiele lat była klasyfikowana na drugim miejscu wśród najbiedniejszych krajów Europy (za Mołdawią; choć Ukraina od 2014 r. zlizowała Armenię na drugim miejscu w wyniku znanych wydarzeń).

Pomoc ze strony UE ma na celu promowanie modernizacji, wspieranie reform. Ma mieć charakter transformacyjny.

Jednym z priorytetowych wyzwań dla każdego ambasadora UE w kraju takim jak Armenia jest zwiększenie skuteczności owej pomocy transformacyjnej. Model pomocy rozwojowej UE ma pewne immanentne cechy systemowe, które należy wziąć pod uwagę w procesie optymalizacji jego skuteczności.

Po pierwsze, lokalny zespół odpowiedzialny za pomoc rozwojową w delegaturze UE ma naturalną tendencję do myślenia na dużą skalę. Ograniczone zasoby kadrowe czynią kłopotliwym zarządzanie małymi, ale licznymi projektami. W Armenii podwojeniu rozmiaru koperty finansowej w ostatnich latach towarzyszyło efektywne zamrożenie stanu osobowego delegatury, co oznaczało znaczny wzrost obciążeń dla poszczególnych kierowników projektów. Byli wśród nich tacy, którzy musieli zarządzać jednocześnie ponad 20 projektami.

Odruch obronny, szczególnie ze strony menedżerów, polega na skłonności do kreowania dużych projektów. W Armenii wynikała z tego preferencja dla kosztownych projektów infrastrukturalnych i projektów łączonych z kredytami rozwojowymi. A duże projekty, zwłaszcza infrastrukturalne, zwłaszcza jeśli są połączone ze skomplikowanymi schematami finansowymi, bywają często zamrażane (z różnych powodów), opóźniane lub odraczone. Spowodowało to, że do 2019 r. ponad 150 milionów euro unijnej pomocy dla Armenii utknęło w projektach zamrożonych lub niezrealizowanych.

Duże projekty mogą wywołać istotny skutek gospodarczy, mogą zapewnić pomocy unijnej dużą widoczność, ale pod względem efektu modernizacyjnego często osiąga się o wiele lepsze wyniki, inwestując w mniejsze przedsięwzięcia, ściślej sprzężone z celami transformacyjnymi.

Po drugie, pracownicy delegatury są pod stałą presją wydawania przyznawanych funduszy. Pieniądze, które nie zostały skierowane na realizację konkretnych projektów, muszą zostać zwrócone do budżetu centralnego (a w ostateczności do państw członkowskich). Żadna dyrekcja generalna Komisji nie czuje się komfortowo, zgłaszając niewykorzystane zasoby budżetowe. Wielki paradoks polega na tym, że w niektórych krajach częstokroć powstrzymanie się od przekazywania unijnych pieniędzy ma większy skutek polityczny i transformacyjny niż ich wydawanie.

Po trzecie, ocena pracy pionu pomocowego delegatury opiera się raczej na parametrach technokratycznych niż na kryterium skutku politycznego. Niektórzy nazywają to tyranią tzw. kluczowych wskaźników wydajności (KPI). Te technokratyczne kryteria nie pozostawiają wiele miejsca na uwzględnianie turbulencji politycznych (takich jak rewolucja w Armenii) i wpływ innych „czarnych łabędzi”, których czasami nie sposób przewidzieć w procesie planowania. W ostatnich latach Komisja położyła duży nacisk na czynnik wpływu projektów na polityki sektorowe realizowane przez rządy partnerskie. Jednakże niekiedy menedżerowie uważają, że obszary, w których UE nie realizuje projektów, mogą pozostawać poza oceną wpływu funduszy unijnych na kształt polityki rządu.

Po czwarte, Unia Europejska nie ma własnej pomocowej agencji realizacyjnej. Swoje fundusze wydaje poprzez krajowe agencje pomocowe swoich państw członkowskich (niemiecka GIZ, francuska AFD, szwedzka SIDA, duńska DANIDA i inne), a także międzynarodowe instytucje rozwoju (UNDP), banki (Bank Światowy) lub organizacje międzynarodowe (Rada Europy). Czasami organizacje te kierują się w realizacji projektów

własnymi celami politycznymi, które do końca nie są tożsame z celami Unii Europejskiej. Mają one z pewnością także własne priorytety w zakresie polityki wizerunkowej, które nie muszą harmonizować z oczekiwaniami UE. Czasem takie rozbieżności dają się w bieżącej współpracy usuwać. Czasem jednak mogą one prowadzić do bardzo praktycznych problemów ograniczających spodziewany efekt funduszy unijnych. Co pewien czas pojawiają się wezwania do ustanowienia specjalistycznej agencji rozwojowej UE, ale na razie nie ma widoków na ich powodzenie.

Po piąte, naturalna rotacja personelu międzynarodowego (w tym szefa delegatury) utrudnia zapewnienie długoterminowej ciągłości w pracy delegatury. Kierownicy projektów spędzają od czterech do sześciu lat w jednym kraju. Pracują nad projektami, które z reguły przynoszą efekty dopiero po ich odejściu. Następcy przychodzą z własnymi pomysłami, czasami wywodzącymi się z ich osobistego doświadczenia na poprzednich placówkach. Taka sytuacja daje oczywiście dużą przewagę lokalnym pracownikom, którzy są zatrudnieni na podstawie umów na czas nieokreślony i którzy stają się naturalnym czynnikiem ciągłości. Jednak nie odbywa się to bez skutków ubocznych. Standardowy czas realizacji projektu wynosi trzy lata. Na przykładzie Armenii można łatwo dowiedzieć, że zapewnienie solidnego wpływu inwestowanych środków wymaga ciągłości zaangażowania wykraczającej poza żywot pojedynczego projektu lub kadencję pojedynczego pracownika. Armenia oferuje wiele przykładów potwierdzających, że nawet najlepsze pomysły, aby przynieść trwały skutek, wymagałyby ciągłego inwestowania na przestrzeni co najmniej kilku, jeśli nie kilkunastu dobrych lat.

Po szóste, dotacje UE za pośrednictwem tak zwanego kanału wsparcia budżetowego powinny wymagać znacznie bardziej

rygorystycznego warunkowania. Armenia była dość aktywnym beneficjentem transferów w ramach wsparcia budżetowego. Ich idea polega na tym, że rząd otrzymuje pieniądze przekazywane bezpośrednio na rządowe konta w zamian za realizację uzgodnionych celów związanych z reformami (przyjęcie ustawodawstwa, szkolenie kadr, utworzenie instytucji itp.). Każdy rząd chciałby definiować te cele i warunki w sposób, który da mu wystarczającą swobodę w ich interpretacji. UE wdraża zawsze ścisłą procedurę przeglądu wyników kontraktu wsparcia budżetowego. Jeśli jednak warunki te są sformułowane w sposób mglisty, cele zaś liczne i trywialne, skutek ich wdrożenia pozostaje bardzo pozorny. Poza tym agencje rządowe odpowiedzialne za ich realizację z reguły nie otrzymują do tego bezpośredniej zachęty, ponieważ pieniądze, którymi Unia nagradza za wypełnienie ustalonych warunków, nie trafiają do nich, lecz bezpośrednio do ministerstwa finansów.

Po siódme, proces planowania i wdrażania programów jest długi i złożony. Jak już wspomniano, potrzeba dobrych kilku lat od idei do wymiernego rezultatu, w procesie, który wymaga zaangażowania lokalnego personelu UE, menedżerów w Brukseli, państw członkowskich, rządu partnerskiego i jego agencji, a ostatecznie – partnerów wdrażających. A kiedy projekt nabierze już dynamiki, wcale niełatwo go skorygować. Umowy finansowe można zmieniać, ale jeśli zmiany są znaczące, muszą uzyskać zgodę państw członkowskich. Jeśli wydarzy się zaś coś nieprzewidzianego, co wymaga przekierowania pieniędzy, decydenci na miejscu i w Brukseli muszą zaangażować całą swoją kreatywność i przejawić najlepsze swoje zdolności przewidywania. Sprawa zapewnienia funduszy UE na wsparcie wyborów w Armenii w 2017 i 2018 r. może być tego dobrą

ilustracją. Jedynie dzięki nadzwyczajnej mobilizacji personelu UE zarówno w Erywaniu, jak i w Brukseli zdołano zorganizować niezbędne środki finansowe. Unia Europejska nie dysponuje na miejscu żadnymi poważnymi środkami rezerwowymi, funduszami uznaniowymi ani nadzwyczajnymi, które można by uruchomić lokalnie w razie niezbędnej potrzeby.

Unia Europejska w ostatnich latach była zaangażowana we wspieranie reform w dziedzinach, które nieuchronnie miały konotacje polityczne. Przykładem chociażby reforma sądownictwa. Do 2018 r. Unia Europejska zainwestowała ponad 50 milionów euro w reformę sądownictwa w Armenii. Fundusze te były generalnie dobrze wydawane, na przykład na projekty związane z dygitalizacją usług prawnych. Jednakże armeńskie sądownictwo jako system było naznaczone brakiem zaufania publicznego, złym stylem zarządzania wymiarem sprawiedliwości, a przede wszystkim jego międzynarodowy wizerunek psuły jaskrawe przypadki wyroków motywowanych politycznie. Krótko mówiąc, bez politycznego podejścia do tej kwestii publiczny wizerunek Unii Europejskiej byłby wystawiony na łatwą krytykę. Lokalni przedstawiciele UE, w tym ambasador, musieli wkroczyć na ścieżkę otwartego dialogu z władzami i społeczeństwem, aby przekazywać obawy UE, tłumaczyć oczekiwania, wyjaśniać zajmowane stanowisko.

Inna delikatna kwestia to walka z korupcją. Do 2018 r. z ponad 30 milionów euro przyznanych Armenii na ten cel tylko około połowy zostało skonsumowane, a to z powodu niezadowolających działań ze strony rządu. Czy UE mogła milczeć w tak istotnej sprawie?

Począwszy od 2016 r. strona armeńska wdrażała dość innowacyjny instrument – kontrakt w sprawie wsparcia budżetowego dotyczącego praw człowieka. Partnerzy armeńscy zgłaszali trudności z realizacją niektórych ustalonych celów, na przykład dotyczących standardów wyborczych czy zapobiegania przemocy w rodzinie. Unia Europejska na mocy kontraktu była zobowiązana do dzielenia się swoimi obawami w tych kwestiach. Miała nie tylko prawo, ale i obowiązek wypowiedzania się na ten temat, także publicznie.

W rezultacie czas i energia ambasadora UE były skoncentrowane na sprawach wewnętrznych Armenii. Rutynowe zajęcia dotyczące klasycznych zobowiązań ambasadorskich, a więc związanych z polityką zagraniczną i relacjami dwustronnymi, w tym wynikających z zaangażowania w negocjacje umowy CEPA i z monitorowania wydarzeń związanych z konfliktem w Górskim Karabachu, pochłaniały w trakcie jego kadencji nie więcej niż 20% urzędowego czasu. 80% czasu zabierało zajmowanie się sprawami wewnętrznymi wynikającymi z programów pomocy rozwojowej i reformami wspieranymi przez Unię Europejską. W przypadku bilateralnych ambasadorów państw unijnych te proporcje czasowe są z reguły odwrócone.

DYPLMATYCZNA AKROBATYKA NA CO DZIEŃ

Żaden kraj przyjmujący nie darzy szczególną sympatią zagranicznych ambasadorów, którzy są publicznie widoczni i rozmowni, chyba że nieustannie wychwalają politykę miejscowych władz. Kiedy zaczynają w ambasadorskich wystąpieniach

rozbrzmiewać nuty krytyczne, ich działalność może być postrzegana jako uciążliwa.

W minionej epoce klasycznej dyplomacji ambasadorowie rzadko występowali publicznie, koncentrując się na działaniach zakulisowych. Nawet obecnie wielu ambasadorów otwiera usta publicznie nie częściej niż raz w roku, z reguły aby odczytać przemówienie na przyjęciu z okazji narodowego święta ich kraju. Ale praktyka dyplomatyczna zmienia się szybko. Dyplomacja publiczna staje się coraz bardziej podstawą codziennych obowiązków ambasadorskich.

Kraje przyjmujące muszą w jakiś sposób radzić sobie ze zwiększoną aktywnością publiczną obcych ambasadorów. Czasami próbują ją ograniczać, nawet te całkiem demokratyczne. Jedno z tych państw jeszcze niedawno postanowiło wymagać od zagranicznych dyplomatów uprzedniego powiadomienia o ich wystąpieniach publicznych (wymagając załączenia tekstu wystąpienia). Ta kagańcowa polityka została jednak szybko zarzucona.

Kiedy państwu-gospodarzowi nie podoba się wypowiedź zagranicznego dyplomaty, musi reagować. Może to być przyjazna wymówka, przytyk, czasem nawet gorzka publiczna polemika. Dyplomata może zostać wezwany do MSZ w celu udzielenia wyjaśnień. W ostatecznym wypadku można go uznać za *persona non grata* i poprosić o opuszczenie kraju. Ale oznacza to już poważny konflikt dyplomatyczny, który pociąga za sobą retorsje. Czasami można takiego dyplomata potraktować jako *de facto persona non grata*. Dzieje się tak wtedy, gdy urzędnicy kraju przyjmującego uprzejmiem odmawiają podtrzymywania z nim kontaktu, pod byle pretekstem wykręcają się od spotkań.

Nie jest tajemnicą, że nawet unijny ambasador może tego doświadczyć i zdarzało się w pewnych państwach, że doświadczał. Czasami z tego powodu musiał rezygnować z ambasadorskiej misji, nawet jeśli jego wypowiedzi użyte jako pretekst do dyplomatycznego ostracyzmu były wygłaszane podczas bardzo prywatnych spotkań.

Niemniej jednak jest tendencją nie do powstrzymania, że zagraniczni dyplomaci coraz bardziej angażują się w działalność w ramach dyplomacji publicznej – z całym wynikającym stąd ryzykiem. Jest ta tendencja kolejnym dowodem na rosnące znaczenie paradygmatu „miękkiej potęgi”. Obowiązkiem ambasadora jest nie tylko zapewnienie dobrego klimatu dla relacji bilateralnych, ale coraz bardziej dbanie o dobry wizerunek jego kraju wśród najszerszych kręgów ludności państwa przyjmującego. Ten dobry wizerunek może stać się potężnym orężem, który można wykorzystać w codziennych kontaktach o charakterze oficjalnym. A kanały wirtualne, w tym media społecznościowe, stwarzają nowe szerokie możliwości bezpośredniej komunikacji z mieszkańcami kraju przyjmującego – jeśli trzeba, z pominięciem władz, ponad ich głowami.

Czasami taka aktywna działalność publiczna może zbudować silną reputację i wysoką pozycję ambasadora w społeczeństwie. Kiedy do tego dojdzie, może on stać się dość niewygodnym dla władz graczem na scenie krajowej. Gdy władze w kraju doświadczają znacznego deficytu legitymacji społecznej czy politycznej, opanowanie sytuacji, kiedy obcy dyplomata jest już postacią rozpoznawalną i cieszącą się zaufaniem, staje się praktycznie niemożliwe. Nawet jeśli władze słyszą skargi od innych zagranicznych ambasadorów na publiczną rolę ich kolegi, nawet jeśli docierają do nich zachęty do zrobienia czegoś ze zbyt

rozpoznawalnym ambasadorem, mają związane ręce. Czyniąc niezyczliwe gesty, ryzykują nie tylko pogorszenie relacji z krajem wysyłającym, ale nawet wywołanie gniewu publicznego, który może tylko pogorszyć ich niepopularność.

Istnieją oczywiście pewne zasady, których powinien przestrzegać każdy dyplomata angażujący się w dyplomację publiczną. Głoszą one, by nigdy nie wtrącać się w bieżącą politykę czysto partyjną, nigdy nie okazywać żadnego szczególnego poparcia dla partii lub ideologii, nigdy nie rozmawiać o politycznych personaliach (debatować tylko o kierunkach polityki, a nie o ludziach, którzy ją prowadzą), nigdy nie angażować się w otwartą polemikę z konkretnymi oświadczeniami urzędników państwowych, nigdy nie opowiadać publicznie tego, czego miejscowi urzędnicy jeszcze od nas bezpośrednio nie usłyszeli, nigdy nie wygłaszać porad, co powinien zrobić rząd, ale raczej dzielić się doświadczeniami innych krajów rozwiązujących podobne problemy, nigdy nie naruszać poczucia dumy narodowej i suwerenności kraju goszczącego, wywodzić wszystkie swoje uwagi o sprawach wewnętrznych z wzajemnych zobowiązań dwustronnych i wielostronnych, do których przystąpiło państwo przyjmujące. Lista takich zasad jest oczywiście znacznie dłuższa.

Wszystkie państwa, a zwłaszcza te mniejsze, są szczególnie wrażliwe na dumę i suwerenność. Jeśli w wypowiedziach zagranicznego dyplomaty będą wyczuwane protekcjonizm i arogancja, nigdy nie znajdzie on posłuchu, zwłaszcza w kręgach opinii publicznej. Nie będzie wiarygodny, jeśli nie będzie autentycznie lubił i szanował ludzi w kraju, w którym pracuje, podziwiał jego kultury, tradycji, historii. Jeśli dyplomata nie

czuje się dobrze w kraju pobytu, powinien raczej zwrócić się do swojej centrali z prośbą o przeniesienie i udać się gdzie indziej.

Te trywialne obserwacje mogą okazać się całkiem pomocne w odniesieniu sukcesu dyplomatycznego. Inną ważną wskazówką dla dyplomaty już wprawnego w podstawowych arkanach dyplomacji publicznej jest skoncentrowanie się na rozległej przestrzeni, jaka istnieje między wierszami własnych przemówień. A jeśli wypowiada się przez tłumacza – powinien potraktować go jako pełnoprawnego partnera w tandemie, umiejącego ukryć, co trzeba, w tłumaczeniu. Trzeba także nauczyć się wysyłać wiadomości w mowie ciała. Czasami uśmiech może stanowić potężne przesłanie.

Mówienie o sprawach wewnętrznych bez ingerowania w wewnętrzne sprawy kraju jest oczywiście polityczną akrobacją na linie. Aby wykonać to z gracją, akrobata potrzebuje czasem niezawodnej siatki bezpieczeństwa. Mówiąc zaś w kategoriach pola bitwy – potrzebuje dobrej osłony powietrznej. W praktyce oznacza to konieczność polegania na niezachwianym wsparciu politycznym i moralnym ze strony centrali. Jeśli państwo przyjmujące odkryje, że ambasador nie ma dostępu do ośrodków decyzyjnych w centrali, w których są pisane instrukcje, znacznie łatwiej jest wywierać na niego presję.

W kraju, w którym występują zakłócenia w komunikacji między władzą a społeczeństwem, głos przyjaznego cudzoziemca może stać się kanałem wyrażania obaw i oczekiwań zwykłych ludzi.

W spolaryzowanym kraju każde publiczne oświadczenie szanowanego zagranicznego dyplomaty może wywoływać przeciwstawne reakcje. Rząd jest zirytowany, a nawet zły, kiedy

słyszy krytykę; opozycja jest rozczarowana, gdy rząd jest chwਾਲony. To czasem balans na linie wymagający niezłej akrobatyki.

Dyplomata musi zawsze zachować zdolność do szczerej rozmowy ze wszystkimi stronami – i z rządem, i z opozycją, a to wymaga konsekwentnej uczciwości w sądach i wypowiedziach.

W Armenii władzom nie przypadło do gustu, kiedy dyplomaci UE poruszali temat korupcji. Z drugiej strony społeczeństwo, wręcz przeciwnie, bardzo doceniało krytyczny głos Unii w tej sprawie, co budowało dla niej publiczne poparcie. Kiedy UE chwaliła determinację armeńskiego rządu do zawarcia z nią nowej umowy, kiedy gratulowała władzom opracowania przepisów dotyczących nielegalnego wzbogacenia lub ustawy o przemoc domowej, opozycja była wyraźnie rozczarowana. Ale taka uczciwość była niezbędna dla budowania wiarygodności i realizacji długoterminowych interesów.

W polityce Unii Europejskiej te długoterminowe interesy zawsze były bardzo przejrzyste. Unia zawsze traktowała Armenię jako integralną część szerszej europejskiej rodziny, europejskiego sąsiada, któremu należy pomóc w budowie demokratycznego, nowoczesnego państwa opartego na europejskich wartościach. Nigdy w unijnych działaniach nie było ukrytej agendy ani żadnych podtekstów geopolitycznych.

Nie jest tajemnicą, że Armenia jako taka nigdy nie plasowała się wysoko na liście priorytetów stosunków zewnętrznych Unii Europejskiej, nawet w kontekście Europy Wschodniej. Regionalna agenda w ostatnich latach została zdominowana (z różnych powodów) przez Rosję, Ukrainę, Mołdawię czy Gruzję. Ale w unijnej polityce wobec Armenii nie było też obojętności. Naprawdę cieszył Brukselę każdy sukces

w reformowaniu kraju i budowaniu pokoju regionalnego. Nie tylko dlatego, że w niektórych innych krajach poradzieckich demokracja nabrała wstecznego biegu, tkanka społeczna i polityczna zaczęła się tam degenerować, powodując rzeczywistą i potencjalną niestabilność oraz ryzyko migracji, które zagrażały stabilności samej Unii Europejskiej.

Rewolucję, która dokonała się w Armenii w 2018 r., można postrzegać w kategoriach cudownego aktu, generującego promyk nadziei w czasach narastającego pesymizmu. Nagle z brukselskiego punktu widzenia wszystkie dyskusje i reformy transformacyjne zaczęły nabierać sensu. Unia Europejska stanęła przed szansą zwiększenia swojego pozytywnego wpływu na modernizację Armenii.

A dla dyplomaty stacjonującego w Armenii obserwowanie rewolucji jest jedynym w swoim rodzaju doświadczeniem zawodowym, zawodową przygodą życia. Nawet jeśli kraj jest mały, a wydarzenia na szczęście nadzwyczaj pokojowe. Nawet jeśli wciąż pozostaje wiele faktów i refleksji, którymi nie może się on z czytelnikami podzielić.

ZASKOCZENIE

Rewolucje przychodzą z reguły z zaskoczenia. Było nie było, Ludwik XVI odnotował „rien” w swoim dzienniku w dniu, gdy lud Paryża atakował Bastylię. Nikt się nie spodziewał, że szturm będzie miał aż tak poważne konsekwencje.

Oczywiście trudno jest przewidywać rewolucyjne przewroty. Paradoksalnie dość łatwo jest wyjaśnić, dlaczego musiały

się dokonać. Nasze umysły wprawnie odtwarzają logikę przeszłości. Z perspektywy czasu możemy dostrzec, że rewolucyjne zmiany nadchodzą naturalnie. Widzimy retrospektywnie, jak rewolucje potrafią dojrzewać przez miesiące lub lata. W naszej analizie ich erupcję tłumaczą obiektywne i długoterminowe procesy – gospodarcze, społeczne, kulturowe i polityczne. Żadna rewolucja, nawet najbardziej niespodziana, nie jest zatem przypadkowa.

Rewolucja w Armenii w 2018 r. zwała się jak grom z jasnego nieba. Jako wielka niespodzianka objawiła się wszystkim – władzom, partnerom zagranicznym, narodowi, a nawet jej własnym liderom.

Sytuacja w społeczeństwie armeńskim była wówczas wyraźnie napięta, a społeczne niezadowolenie wysokie. W kraju, w którym oficjalny wskaźnik ubóstwa przekraczał 30%, poziom bezrobocia – 40%, a poziom migracji kształtował się na pułapie 10% populacji w ostatnich dziesięciu latach, frustracja w społeczeństwie była bardziej niż zrozumiała.

Okresowo dochodzić musiało do kondensacji społecznego gniewu. Co pewien czas obywatele Armenii wychodzili na ulice, aby wyrazić swoje emocje. W latach 2015–2018 zdarzyło się to kilkakrotnie.

Latem 2015 r. tysiące młodych Ormian zorganizowało protesty w Erywaniu. Jak w każdym buncie iskra była bardzo prozaiczna. Wtedy chodziło o cenę prądu. Protesty charakteryzowały się nieznanym dotąd masowym wykorzystaniem mediów społecznościowych i użyciem internetu do mobilizacji poparcia. Pomogło to także rozpropagować protesty (w odróżnieniu od niektórych wcześniejszych inicjatyw obywatelskiego

nieposłuszeństwa) na forum międzynarodowym. Przez kilka dni młodzież blokowała z powodzeniem jedną z głównych ulic stolicy. I udało się jej w rezultacie unieważnić podwyżkę cen. Władze wyraźnie grały na czas i dążyły do rozproszenia gniewu. Niewielu ludzi władzy zrozumiało wszakże, że przyczyny, które wyprowadziły młodzież na ulice, były znacznie głębsze niż cena energii. Był to już głos protestu o charakterze antysystemowym. Młodzi ludzie mówili „nie” systemowi, w którym władze mogły decydować o ważnych kwestiach wpływających na życie ludzi, nie troszcząc się wcale o słuchanie społeczeństwa.

W tamtym okresie partie opozycyjne próbowały również zmobilizować społeczeństwo przeciwko planowanym zmianom konstytucyjnym, które zostały potem poddane pod referendum w grudniu 2015 r. Demonstracje, mimo że głosowaniu towarzyszyły jawne manipulacje, nie zgromadziły wszakże wielkich tłumów. I to nie tylko z powodu mało sprzyjającej pogody.

Wojna kwietniowa 2016 r. w Górskim Karabachu wpłynęła istotnie na sposób myślenia Ormian o ówczesnej władzy. Po pierwsze, podważony został aksjomatyczny pogląd, rozpowszechniony nie tylko wśród elity rządzącej, że Armenia może sama poradzić sobie z zagrożeniem ze strony Azerbejdżanu. Zachodni dyplomaci słyszeli ten pogląd jak rytualną mantrę uzupełnianą wyjaśnieniem, że armeński sojusz z Rosją był motywowany wyłącznie czynnikiem tureckim w każdym scenariuszu konfliktu regionalnego. Wojna zrodziła obawy, że Azerowie wygrywają wyścig zbrojeń, a czas pracuje na ich korzyść. Po drugie, w nowym świetle zaczęto postrzegać Rosję jako sojusznika. Ormianie nie mogli pogodzić się z faktem, że strona azerska używała w konflikcie sprzętu wojskowego dostarczonego Azerbejdżanowi przez Rosję. Swoje niezadowolenie

zamanifestowały wtedy spore tłumy protestujących przed ambasadą Rosji w Erywanii. Po trzecie, zachwiał się koronny argument używany przez ówczesne władze, głoszący, że co prawda nie bardzo wychodziło im zapewnienie dobrobytu gospodarczego, jednak były one skuteczne w zapewnieniu zewnętrznego bezpieczeństwa kraju. Mieszkańcy Armenii byli zszokowani, dowiedziawszy się, że ich żołnierze nie są odpowiednio wyposażeni i uzbrojeni, ponieważ pieniądze przeznaczone na wojsko zostały zmarnotrawione w procederach korupcyjnych. Ormianie zdali sobie sprawę, że walka z korupcją stała się kwestią ich bezpieczeństwa narodowego.

Atak komanda „Sasna Tsrer” na komisariat policji w Erywanii w lipcu 2016 r. był objaśniany przez organizatorów poczuciem zdrady interesów bezpieczeństwa ze strony rządzącej elity, a frustrację pogłębiały pogłoski o możliwym porozumieniu dotyczącym Górskiego Karabachu, które wiązałyby się z ustępstwami terytorialnymi. Dla niektórych liderów opozycji, w tym dla samego Nikoła Paszyniana, kryzys był potwierdzeniem najwyższego poziomu społecznego rozczarowania i gniewu wobec reżimu. Zdecydowana większość Ormian uważała atak „Sasna Tsrer” i wzięcie zakładników co najmniej za akt kryminalny, a niektórzy nawet – za całkowicie niedopuszczalny atak terrorystyczny. A jednak tysiące Ormian, którzy potępiali ten czyn, wyszło na ulice, aby wyrazić swoją solidarność z motywami napastników. Paszynian próbował mediować z Żirajrem Sefilianem, uwięzionym przywódcą ruchu Parlamentu Założycielskiego, ale jego wysiłki zostały zablokowane przez władze. To wtedy Paszynian podobno opracował swój plan rozpoczęcia późniejszych pokojowych i legalnych masowych działań przeciwko rządowi Serża Sarkisjana.

Kryzys z lipca 2016 r. doprowadził do ludzkich ofiar, ale charakteryzował się także nadmiernym użyciem siły wobec demonstrantów przez władze. Jednak decydenci mogli twierdzić potem, że rozładowali kryzys przy minimalnych kosztach politycznych. Władze nie kryły jednocześnie niezadowolonia, że Zachód, w tym Unia Europejska, otwarcie wyraził swoje zaniepokojenie nieproporcjonalnym użyciem siły przez organa porządkowe. Objawem ich nerwowości były aresztowania na tle politycznym, w tym aresztowanie Andriasa Gukasjana, intelektualisty i byłego kandydata na prezydenta. Jego sprawa była w następstwie uważnie monitorowana przez Unię Europejską i Stany Zjednoczone.

Zwyczajową okazją do manifestowania społecznego gniewu były w Armenii wybory prezydenckie i parlamentarne. Kilka demonstracji w historii kraju zamieniało się w dość tragiczne i gwałtowne konfrontacje, żeby wspomnieć chociażby o wydarzeniach z 1 marca 2008 r. Wielu obserwatorów, w tym zagranicznych, obawiało się możliwych gwałtownych społecznych reakcji na wybory parlamentarne w kwietniu 2017 r. Władze musiały podzielać te obawy, sądząc po liczbie sił policyjnych dyskretnie rozmieszczonych w dzień wyborów (z dala od oczu zagranicznych obserwatorów) w niektórych centralnych dzielnicach miasta. Opozycja ponownie zarzuciła władzom sfalszowanie wyborów, oskarżając rządzącą partię o liczne manipulacje.

Wbrew wszakże wszelkim obawom, pomimo dość słabych rezultatów opozycji, na ulicach zapanowała cisza. Po raz pierwszy od połowy lat 90. wybory nie wywołały „akcji ulicznej”. Jak wiadomo, większość tak zwanych kolorowych rewolucji została sprowokowana przez sfalszowane wybory. Spokój po wyborach w Armenii w 2017 r. mógł być mylącym sygnałem dla elity

rządzącej. Mogła ona uznać, że w pełni panuje nad politycznymi emocjami narodu.

Z technicznego punktu widzenia wybory odbyły się na znacznie lepszym poziomie niż poprzednio. Dzięki zastosowanej technologii wyborczej niektóre tradycyjne sztuczki i manipulacje, takie jak dorzucanie do urn wyborczych kart z głosami na kandydatów władzy, głosowanie karuzelowe i fałszowanie tabel sumarycznych głosów, było już o wiele trudniej praktykować. Jednak ogólnie wybory pozostawiły po sobie niesmak. Splamiła je przede wszystkim praktyka kupowania głosów na masową skalę. W pewnym stopniu to sam nowy kodeks wyborczy z tak zwanym systemem rankingowym zachęcał kandydatów do nieuczciwych metod. Ale głównym motorem przekupstwa była totalna mobilizacja ze strony lokalnych przywódców Partii Republikańskiej, którzy na kilka dni przed wyborami wpadli w panikę, że może dojść do tak zwanej drugiej rundy wyborów, w której wynik byłby nieprzewidywalny. Krążyły pogłoski, że partia Zamożna Armenia (której przewodził oligarcha Gagik Carukian) może nawet wysforować się na pierwsze miejsce. „Jeśli przegramy, wszyscy pójdziecie siedzieć” – usłyszeli ponoć aktywiści Partii Republikańskiej od swoich liderów na jednym z zamkniętych spotkań. Czy uzasadnione, czy nie, obawy te zmusiły działaczy partii do wykorzystania wszystkich możliwych sposobów, w tym przekupstwa i nacisków administracyjnych, a nawet bezpośredniego szantażu, aby zdobywać głosy wyborcze. Notabene, cena głosu nigdy nie była w Armenii przesadnie wysoka – około 20 dolarów amerykańskich za głos.

Oznaki, że partia rządząca wcale nie była przygotowana na przyjęcie ewentualnego wotum nieufności ze strony obywateli, stały się oczywiste już jesienią 2016 r., kiedy nowy

kodeks wyborczy został przetestowany na wyborach lokalnych w Giumri i Wanadzorze. Partia Republikańska (lub jej kandydaci na burmistrzów) nie uzyskała tam absolutnej większości, a nawet przegrała w zestawieniu z listami opozycji, a jednak powyborczymi manewrami zapewniła sobie rządzenie. Z pomocą kontrowersyjnej interpretacji kodeksu wyborczego, jak w Giumri, lub z pomocą „wspomaganej” dezercji radnych z obozu opozycyjnego – w Wanadzorze.

Zwycięstwo wyborcze w 2017 r. stało się katalizatorem politycznego zadufania ze strony najwyższego szczebla Partii Republikańskiej. Jej przywódcy potrafili wymazać z pamięci nawet pozytywny efekt umieszczenia Karena Karapetiana jako głównego kandydata na liście partyjnej (odsuwając wtedy w cień prawdziwego lidera partii – ówczesnego prezydenta). A przecież wielu Ormian zagłosowało na partię rządzącą, szczerze jej nienawidząc, tylko dlatego, że Karapetian wzbudził nową nadzieję na pozytywną zmianę w kraju. Arogancja partyjnych liderów przywiodła ich do przekonania, że rzeczywiście popiera ich większość Ormian. I zinterpretowali wybory jako mandat dla przedłużenia rządów Serża Sarkisjana, przekreślając Karapetiana jako opcję natychmiastowej sukcesji.

Po wyborach parlamentarnych w 2017 r. nastrój społeczeństwa stał się jeszcze bardziej ponury. „Zachowaliśmy się jak zombie” – wyznał pewien aktywista społeczeństwa obywatelskiego zachodnim dyplomatom. Powiększyła się przepaść między pewnością siebie partii rządzącej a depresyjnymi emocjami społeczeństwa. Było tylko kwestią czasu, kiedy rozziw ten wywoła polityczne turbulencje.

Hybris to zawodowa przypadłość odnoszących sukcesy polityków. Hybris Partii Republikańskiej stanie się wkrótce katalizatorem społecznego gniewu w Armenii.

Kiedy jeden z zachodnich dyplomatów wypowiedział w czerwcu 2017 r. łagodną uwagę, że proces wyborczy w Armenii powinien stać się bardziej wiarygodny, zorganizowany atak mediów, za którym stali pewni funkcjonariusze Partii Republikańskiej, ujawnił, że decydenci musieli już na dobre stracić kontakt z rzeczywistością.

ONTOLOGIA REWOLUCJI

Kiedy polityczną zmianę można nazywać rewolucją? Termin „rewolucja” pochodzi z łaciny, ale jego pierwszą definicję zawdzięczamy Arystotelesowi. Rewolucja oznaczała całkowitą lub częściową zmianę konstytucji politycznej. W zachodnim słowniku politycznym rewolucja weszła do powszechnego użytku wraz z angielską chwalebłą rewolucją z 1688 r.

To, jak definiować rewolucję, dzieli do dziś uczonych, polityków i ideologów. Poza wszelkimi kontrowersjami do klasycznych rewolucji można zaliczyć rewolucję francuską z 1789 r. lub rewolucję bolszewicką z 1917 r. Wśród współczesnych wydarzeń rewolucja aksamitna w Czechosłowacji i inne rewolucje z 1989 r. wydają się nie budzić poważniejszych kontrowersji. Podobnie jak niektóre tak zwane kolorowe rewolucje na przestrzeni postsowieckiej.

Nie każda zmiana władzy politycznej może pretendować do miana rewolucji. Po pierwsze, jak się wydaje, musi za zmianą

stać szeroki protest społeczny; jej siłą sprawczą musi być tłum, który narzuca zmianę. Ale nawet masowość uczestnictwa może nie wystarczać dla spełnienia rewolucyjnego kryterium. Masowy protest może czasem kwalifikować się jako bunt, a jeśli stanie się wyjątkowo gwałtowny i wywoła ostry podział – jako wojna domowa. Pojawić się zatem musi kolejny warunek – zmiana wywołana społeczną akcją przeciwko urzędującym władzom musi być politycznie znacząca, systemowa.

Zmiana władzy może niekiedy następować drogą przemocy, ale bez udziału mas i bez zmian systemowych. Mówimy wtedy o zamachu stanu. Niektóre szkoły ideologiczne wymagają, aby rewolucyjna zmiana była istotnie bardzo głęboka i obejmowała system gospodarczy, stosunki społeczne, reżim polityczny, a nawet normy moralne. W niektórych doktrynach warunkiem jest to, aby zmiana mogła być postrzegana jako postępową. Co prawda niewiele osób na Zachodzie kwestionować może prawo Irańczyków do nazywania ich transformacji w 1979 r. rewolucją (nawet jeśli określa się ją jako islamska). To, czy narzucenie państwa teokratycznego może z zasady być postrzegane jako miara postępu, to już zupełnie inna historia.

Niezadowolenie obywateli może znaleźć wiele przejawów. Rewolucje z reguły nadchodzą, gdy zawodzi istniejący system polityczny zarządzania niezadowoleniem. W dzisiejszych czasach milcząco zakładamy, że rewolucje nie zdarzają się w państwach demokratycznych. Może tam dochodzić do masowych protestów, nawet dość gwałtownych (np. żółte kamizelki), mogą rozwijać się tam ruchy niezadowolenia i frustracji (Indignados), ale polityczne zmiany dokonują tam drogą demokratycznych procedur i w ramach demokratycznych instytucji.

Rewolucje wybuchają, gdy gniew osiąga punkt nasycenia. Masy nie są w stanie dłużej już tolerować swojego losu. Ich sprzeciw wobec władz wiąże się z reguły z ryzykiem wręcz egzystencjalnym. Ludzie, idąc na rewolucję, narażają swoje życie. Wymaga ona prawdziwej odwagi. Gotowi na to są z reguły ci, którzy nie mają już nic do stracenia.

Niektórzy uważają, że żyjemy teraz, przynajmniej w Europie, w czasach postheroicznych. Społeczeństwo en masse nie chce już zbyt ryzykować, nawet jeśli czuje potrzebę zmiany. Obywatele mają swoje rodziny, zgromadzili oszczędności, spłacają mieszkania, posiadają samochody, i cenią sobie to, co mają, nawet jeśli uważają władzę za złą lub nieudolną. Dystans między zwykłą frustracją a niedającą się tolerować desperacją jest dziś wyraźny. A frustrację da się dziś rozładować, oddając głos protestu w wyborach (przeciw rządzącym, najczęściej na rzecz populistów), organizując zgromadzenia typu flash mob, ale głównie demonstrując pasywność polityczną, praktykując obywatelską obojętność i pograżając się w równoległym życiu prywatnym z dala od polityki.

Przez całe wieki zawodowi politycy (zawodowi rewolucjonisci) starali się wykorzystać frustrację ludzi i wzniecać rewolucyjne nastroje, popychać naród do rewolucji w celu przejęcia władzy. Dzisiejsze niezadowolenie nie jest sterowane przez politykę i polityków. Protesty są wywoływane przez anonimowych ludzi; lewiatan rewolucji jest bezgłowy. Pojawia się niekiedy w rewolucyjnym zamieszaniu silny i charyzmatyczny lider. Ale jego głównym atutem nie są kompetencje kierownicze ani spryt polityczny, lecz umiejętność panowania nad emocjami tłumu.

GEOPOLITYKA REWOLUCJI

Obiegowa mądrość głosi: rewolucje nie wybuchają w ustrojach demokratycznych. Jeśli się tam zdarzają, ich wymiar jest bardziej społeczny i kulturowy niż polityczny. Rewoltę studencką z 1968 r. można wszakże słusznie nazywać dziś rewolucją, nawet jeśli nie wpłynęło to na system polityczny Francji. Była rewolucją bynajmniej nie z powodu obfitości używanej wówczas frazeologii trockistowskiej lub maoistycznej. Była nią, ponieważ przez wielu jest dziś postrzegana jako punkt zwrotny w transformacji społeczeństw Europy Zachodniej: uwolniła je od patriarchalnych, drobnomieszczańskich, zwietrzałych zwyczajów i norm. Podobnie dzisiejsza rewolucja technologiczna ze sztuczną inteligencją, *big data*, wirtualną chmurą i sieciami społecznościowymi głęboko przekształca społeczeństwa zachodnie. W rewolucyjny, ale jak dotąd dość nieturbulentny sposób. Choć pod względem skutków będzie to prawdopodobnie najgłębsza rewolucja technologiczna w historii.

Rewolucje polityczne jednakowoż są dziś kojarzone wyłącznie ze wschodnią częścią kontynentu. Na przełomie lat 80. i 90. w Europie Środkowo-Wschodniej spowodowały one upadek komunizmu. Na Bałkanach Zachodnich komunizm zasadniczo upadł wraz z rozpadem Jugosławii. Podczas wyborów w 1992 r. komuniści zostali odsunięci od władzy w Albanii. Demokratyczna transformacja trwała dość długo w Serbii, gdzie mogła świętować triumf jedynie dzięki rewolucji buldożerowej w 2000 r. Niektórzy nazywają protesty w 2016 r. w Macedonii kolorową rewolucją, ale wielu opisuje je jako element kryzysu politycznego, który został rozładowany przez

porozumienie w sprawie utworzenia rządu technicznego i przełożenia wyborów.

Zmiany w Europie Środkowo-Wschodniej potwierdziły, że demontaż systemu komunistycznego powinien doprowadzić, jak opisywał to Fukuyama w wizji „końca historii”, do ustanowienia zachodniego modelu liberalnej demokracji. W krajach Europy Środkowo-Wschodniej tę transformację ku liberalnej demokracji ułatwiły aspiracje geopolityczne tych państw. Zmiany napędzało dążenie do powrotu do zachodniej rodziny narodów, zakotwiczenia się na Zachodzie, wejścia do zachodnich instytucji, takich jak NATO i/lub Unia Europejska. Europejczycy z Europy Środkowej chcieli żyć i wyglądać jak Zachód. Chcieli powielić zachodni model sukcesu, skopiować zachodnie instytucje i kulturę polityczną. Tak więc demokracja w Europie Środkowo-Wschodniej została zbudowana metodą imitacji.

Postkomunistyczna transformacja nabrała innego charakteru na przestrzeni postsowieckiej. Niemal wszędzie elity próbowały zachować istotę radzieckiego systemu władzy, dostosowując go do ogólnych kanonów demokracji. Wybory, parlamenty, partie polityczne i media musiały funkcjonować tak, aby spełnić „na papierze” wymogi formalne sformułowane przez strażników demokracji i praw człowieka – Radę Europy lub OBWE, dla społeczeństw demokratycznych. W większości państw postsowieckich na czele transformacji stanęli byli aparatczycy z partii komunistycznej (lub Komsomołu), byli oficerowie KGB i inni funkcjonariusze starego systemu. Nawet jeśli w niektórych państwach dawni opozycjoniści i dysydenci zostali wyniesieni na szczyt władzy (w tym w niektórych krajach Kaukazu Południowego), to albo nie przetrwali tam długo, albo zostali wypchnięci przez ludzi poprzedniego, starego

systemu. A stare/nowe elity nie miały najmniejszego zamiaru narażać się na ryzyko i zagrożenia związane z demokracją. Ci ludzie chcieli pozostać przy władzy, najchętniej na zawsze. Tak powstał nowy system władzy – system postsowiecki. Jego filozofia była prosta: kontrola jest ważniejsza niż legitymizacja. Przeprowadzano wybory, ale kandydaci wywodzili się z partii rządzącej i licencjonowanej opozycji. Władza była scentralizowana. Prasa drukowana mogła być wolna, ale telewizja musiała być ściśle kontrolowana. Wymiar sprawiedliwości miał służyć interesom dysponentów politycznych. Aparat przymusu w żadnym wypadku nie mógł być neutralny politycznie – miał chronić władzę. Struktury siłowe (wojsko, policja polityczna, prokuratura, policja) stanowiły równoległy polityczny kanał kontroli nad społeczeństwem. Polityka i biznes były ze sobą powiązane, w jednym wydaniu pozwalając oligarchom kontrolować politykę, w innym – pozwalając silnym politycznym liderom kontrolować oligarchów. Zależności neofeudalne zaczęły przenikać społeczeństwo – nowe elity stanęły ponad prawem, podczas gdy masy miały żyć w strachu przed prawem.

Wprowadzenie gospodarki rynkowej stworzyło możliwości nielegalnego wzbogacenia się na niespotykaną wcześniej skalę. Polityczni przywódcy w niektórych państwach okazali się niezdolni do radzenia sobie ze skutkami transformacji rynkowej, więc z ochotą zaczęli stosować mechanizmy kapitalizmu państwowego. W ten sposób pojawiła się dość osobliwa forma postsowieckiego systemu gospodarczego. Od strony gospodarczej funkcjonowanie systemu postsowieckiego zakończyło się fiaskiem. Mógł on przetrwać tylko dzięki pokaźnym dochodom pochodzącym z zasobów naturalnych (ropa i gaz) lub zewnętrznych bezpośrednich lub pośrednich dotacji (lub przekazów

pieniężnych). Jego konserwacji sprzyjał także społeczny strach, że powtórna liberalizacja i otwieranie gospodarki może tylko pogorszyć sytuację zwykłych ludzi.

Stare/nowe elity polityczne, a zwłaszcza przywódcy na ich szczycie, robili wszystko, aby zdyskredytować samo pojęcie rewolucji. Pomógł im fakt, że spontaniczna demokratyzacja na początku lat 90. zbiegła się w czasie z chaosem gospodarczym i spadkiem poziomu dobrobytu w społeczeństwie. Liberalne recepty stały się równoznaczne z chaosem, drapieżną ekonomią i codziennymi wyrzeczeniami. W niektórych państwach na przestrzeni postsowieckiej, takich jak Gruzja, Mołdawia czy Ukraina, niezadowolenie urosło do takich rozmiarów, że zaczęto postrzegać model demokracji zachodniej, zachodnią gospodarkę i społeczeństwo jako jedyną alternatywę dla systemu opartego na nepotyzmie, korupcji, ucisku i zakłamaniej propagandzie. Ponieważ Rosja wchodziła coraz bardziej na antyzachodni kurs, każdy atak na system postsowiecki w tych państwach musiał nabierać geopolitycznego wymiaru.

Termin „postsowiecki” bardzo wcześnie uzyskał konotację geopolityczną. Wielu prozachodnich polityków w krajach postsowieckich i wielu ekspertów na Zachodzie chciało usunąć ten termin z dyskursu publicznego. Całkiem słusznie – wprowadza on bowiem w błąd i zwyczajnie szkodzi. Zniekształca coraz bardziej zróżnicowany krajobraz geopolityczny na tym obszarze. Weźmy dla przykładu Kaukaz Południowy – jeden kraj regionu stara się zbliżyć do UE i NATO, inny z kolei uczestniczy w prawie wszystkich projektach integracyjnych sterowanych przez Rosję, takich jak Unia Eurazjatycka czy Organizacja Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym, a jeszcze inny, pozostając w bliskich relacjach z Rosją, w jej geopolitycznych projektach nie

bierze udziału, ale jednocześnie nie zgłasza żadnych zamiarów, by zbliżyć się do UE lub NATO. Cóż za różnorodność strategii politycznych! Mierzenie wszystkich jedną miarą coraz bardziej zaciemnia obraz.

Bezrefleksyjne posiłkowanie się terminem przestrzeni post-sowieckiej mogło jedynie służyć interesom tych, którzy chcieli legitymizować istnienie obszaru, do którego Rosja miałaby żywić specjalne roszczenia, podobnie jak w przypadku terminów „bliskiej zagranicy” lub „rosyjskiego świata”.

Tym, co sprawia, że trudno jest pogrzebać wszakże pojęcie przestrzeni postsowieckiej, jest nie tylko wciąż żywa spuścizna *homo sovieticus*. Do niedawna kraje te były bowiem powiązane ze sobą istnieniem opisanego wyżej hybrydowego dysfunkcyjnego modelu politycznego i gospodarczego, a nawet społecznego, jaki pojawił się prawie wszędzie w krajach powstałych na gruzach Związku Radzieckiego. Ukraina, Gruzja i Mołdawia gorączkowo próbują się z tego systemu wyzwolić. I okazuje się to dość trudne.

WŁADZA KORUMPUJE

Według niektórych badań opinii publicznej sprzed kilku lat (PEW Research z 2017 r.) Armenia była jednym ze społeczeństw najbardziej nostalgicznych wobec Związku Sowieckiego – bardziej niż Rosja, bardziej niż Białoruś. Pod pewnymi względami nie powinno to zaskakiwać. W czasach radzieckich Armenia całkiem dynamicznie rozwijała się gospodarczo. Powstały wtedy liczne zakłady przemysłowe, nawet całe nowe przemysłowe miasta. Armenia, republika sowiecka licząca w przybliżeniu

4 miliony ludzi, miała nawet własną fabrykę samochodów, która produkowała pojazd o nazwie „JerAZ” (po ormiańsku oznaczała owa nazwa „marzenie”, ale tak naprawdę wywodziła się z akronimu fabryki samochodów w Erywaniu), o konstrukcji wprawdzie dość prostej (nawet jak na standardy sowieckie). Pierwsze sowieckie komputery półprzewodnikowe (Hrazdan-2) zostały zbudowane w Armenii, a w Erywaniu produkowano najczęściej używany wówczas sowiecki komputer Nairi.

Z dzisiejszej perspektywy cały ówczesny przemysł ciężki był wielkim obciążeniem dla środowiska naturalnego. Wystarczy pojechać do dzisiejszego Alawerdi (przemysłowego miasta na północy Armenii), przeczytać o problemach w zanieczyszczonych kopalniach wokół Kapanu, o zagrożeniach związanych z fabryką chemiczną Nairit. Przemysł ciężki, nawet jeśli dawał ludziom w tamtym czasie miejsca pracy, był wytworem opacznej koncepcji rozwoju. Na początku niepodległości Armenii stanowiło to już poważny problem. Nie był to na pewno atut, który mógłby służyć jako ekonomiczna podstawa do budowy nowoczesnej Armenii. Trzeba by było go kiedyś zdemontować, niezależnie od tego, czy Związek Sowiecki by upadł, czy nie. W pewien sposób jego rozpad można traktować jako błogosławieństwo w pozbywaniu się tego uciążliwego dziedzictwa przemysłowego.

Sowiecka przeszłość oczywiście nigdy nie była różowa. Ormianie, w szczególności inteligencja, ucierpieli dotkliwie z powodu prześladowań politycznych, czystek, terroru, jakie nastąpiły już zaraz po upadku pierwszej Republiki Armenii w grudniu 1920 r.

Kiedy Związek Sowiecki zaczął słabnąć i się rozpadać, Ormianie zjednoczyli się wokół sprawy niepodległości. Dążyli do niej czynnie. Bardziej niż niektóre inne republiki sowieckie.

Tak więc dzisiejsza nostalgia za Związkiem Sowieckim nie ma charakteru politycznego. Bardzo niewielu Ormian podpisałoby się dziś pod poglądem, że upadek Związku Sowieckiego stanowił największą geopolityczną tragedię XX w. Ale mają prawo odczuwać tęsknotę za młodością i szczęściem lat minionych. I całkiem słusznie chcą to okazywać. Szkopuł w tym, że te osobiste nostalgiczne uczucia są cynicznie wykorzystywane przez pewne ośrodki do celów politycznych.

Upadek Związku Sowieckiego zbiegł się w czasie w przypadku Armenii z okresem działań wojennych i załamaniem gospodarczym. Tragiczne trzęsienie ziemi w 1988 r. przyniosło śmierć około 35 tysiącom ludzi i zrównało z ziemią drugie co do wielkości miasto Armenii – Giumri, a także inne miasta i wioski. Zła polityka gospodarcza przywódców rozpadającego się Związku Sowieckiego zakłóciła istniejące powiązania gospodarcze, doprowadziła do tymczasowego zamknięcia elektrowni atomowej w Metsamor i wywołała galopującą inflację. Początek lat 90. to okres poważnych utrudnień w życiu codziennym – pojawiły się niedobory żywności, dostawy prądu trwały tylko kilka godzin dziennie, nie było jak ogrzewać mieszkań. W latach 1991–1994 PKB zmniejszył się do poziomu 60% z czasów sowieckich, ponad 500 tysięcy Ormian opuściło kraj w poszukiwaniu pracy, połowa gruntów ornych została puszczona odłogiem. Armeńska gospodarka przeszła w tryb przetrwania. Filozofia przetrwania wywarła głęboki wpływ na politykę gospodarczą kolejnych rządów. Priorytetem było zapewnienie wystarczającego dochodu publicznego i wystarczająco

efektywnego zarządzania państwem, aby móc przede wszystkim zapewnić sprawność militarną i bezpieczeństwo kraju. Ani mniej, ani więcej.

Gorzkie wspomnienia z lat 90. stanowiły punkt odniesienia dla dzisiejszego starszego pokolenia przy ocenie ich obecnego samopoczucia. Ale już nie dla młodej generacji. Dla starszych ludzi każdy stan spraw lepszy od tamtej sytuacji, nawet jeśli bardzo niedoskonały, zasługiwał na wdzięczność.

System skrajnego niedoboru ma wszędzie efekt demoralizujący. Ludzie szukają wszelkich dostępnych środków, aby zapewnić sobie godne życie. Otwiera to przestrzeń dla nepotyzmu i korupcji. Na obszarze poradzieckim drobna korupcja była zjawiskiem powszechnym w ramach systemu sowieckiego. Jednakże partia komunistyczna i aparat państwowy musiały i mogły wdrażać środki represyjne niezbędne do tłumienia przynajmniej korupcyjnych ekscesów. Te ideologicznie motywowane działania zaradcze zniknęły po rozpadzie Związku Sowieckiego. A majątek, uzyskany w jakikolwiek sposób, stał się sposobem na pokazanie wyższego statusu społecznego.

W źle funkcjonującym systemie gospodarczym drobna korupcja staje się z reguły nieodzownym środkiem oliwienia całego systemu, aby mógł w ogóle funkcjonować. Najgorsze spustoszenie korupcja posiadała wszakże na szczytach władzy i biznesu.

Wielu Ormian uważa, że elita polityczna, która przejęła stery państwa pod koniec lat 90., jest odpowiedzialna za plagę metakorupcji. Metakorupcja oznacza transfer dużych pieniędzy między elitami politycznymi i gospodarczymi w zamian za wzajemne przysługi.

Rządzenie państwem stwarza wszędzie ogromną dźwignię dla kontrolowania biznesu i gromadzenia majątku osobistego. Sama procedura przetargów publicznych, jeśli nie podlega właściwemu nadzorowi i kontroli sądowej, otwiera olbrzymie możliwości dla budowania imperiów biznesowych i gromadzenia bogactwa. Opozycja armeńska uważała, że główną przeszkodą dla postępu gospodarczego w Armenii był system mini-monopoli. Powodował on, że każdy, nawet niewielki segment rynku był kontrolowany przez uprzywilejowanego oligarchę. Owi więksi czy mniejsi monopolisci byli zobligowani wspierać władzę polityczną, a przynajmniej demonstrować lojalność w zamian za swoisty polityczny parasol.

Taki wypaczony system może działać tylko wtedy, gdy wzrost gospodarczy jest wystarczająco dynamiczny, aby wszyscy mogli z niego skorzystać. Kiedy jednak gospodarka spowalnia do poziomu stagnacji, w naturalny sposób pojawia się napięcie społeczne. Nierówności dochodowe zaczęły coraz bardziej irytować Ormian. W małym kraju plotki krążą ze szczególną mocą. Każdy dzień przynosił opowieści o ogromnych pieniądzach wymuszanych od obcych inwestorów, w tym pochodzących z diaspory, o wymuszonych przejęciach dochodowych przedsiębiorstw przez osoby związane z władzą oraz o wielkich kwotach zdefraudowanych przez najwyższych urzędników. Brak przejrzystości i odpowiedzialności potęgował te pogłoski. Porewolucyjne dochodzenia ujawniły przynajmniej niektóre z tych skorumpowanych praktyk, nawet jeśli czasami trudno było uzyskać pełne dowody przestępstw i odzyskać środki.

Korupcja jest jednym z aspektów rzeczywistości, w którym percepcja jest ważniejsza niż fakty. Armenia w przedrewolucyjnym okresie osunęła się dość nisko w rankingu wskaźnika

postrzegania korupcji. W 2017 r. zajmowała 110. pozycję na liście Transparency International (w 2019 r., już po rewolucji, awansowała na miejsce 77.).

Najbardziej frustrujące społecznie były już nawet nie tyle rozmiary korupcji, ile polityka zdecydowanego zaprzeczenia prowadzona przez przywódców Armenii przed 2018 r. Dla miejscowej ludności oświadczenia urzędników negujących rozprzestrzenianie się korupcji były tylko kolejnym przejawem arogancji i oderwania się od rzeczywistości przez rządzącą Partię Republikańską. Dla partnerów zagranicznych polityka ta stała się główną przeszkodą w rozwijaniu pomocy rozwojowej. Ze względu na poziom korupcji Armenia nie mogła w pełni wykorzystać potencjału stosunków z Zachodem.

Niektórzy zachodni ambasadorzy w latach 2015–2018 próbowali uczynić z korupcji centralną kwestię w swoich działaniach z zakresu dyplomacji publicznej. Ich oświadczeniom towarzyszyły oferty programów pomocowych w walce z korupcją. Ta publiczna działalność spotkała się z dość neurotyczną reakcją niektórych urzędników. Dyplomaci zachodni nie zniechęcali się tym i nie zarzucili antykorupcyjnej krucjaty. Kontynuowali swoje publiczne i dyplomatyczne zaangażowanie w pomoc Armenii w walce z korupcją. Czasami w prywatnych rozmowach funkcjonariusze próbowali twierdzić, że władze były bardziej niż gotowe do walki z korupcją, ale to zwykli obywatele nie byli na nią przygotowani. A jednak to właśnie zwykli ludzie naciskali zagranicznych darczyńców, aby coś w końcu z korupcją zrobili.

Po rewolucji w 2018 r. niektórzy nowi decydenci zaczęli krytykować zachodnich darczyńców za przyczynianie się do korupcji

w przeszłości. Prawda była wszakże taka, że jeśli Armenia była w stanie odnotować jakąkolwiek poprawę, nawet sektorową, pod względem korupcji, było to możliwe przede wszystkim dzięki zagranicznej pomocy i politycznej presji. Wprowadzenie systemu „e-governance” w Armenii, wartego miliony euro, spowodowało zamknięcie możliwości „biurokratycznej” korupcji w kontaktach z administracją rządową lub sądownictwem. Darczyńcy zagraniczni finansowali publiczne kampanie antykorupcyjne. A co najważniejsze – kwestia ta znalazła się w centrum dialogu politycznego z władzami i była nagłaśniana publicznie (czasem bardziej skutecznie, z oczywistych powodów, niż w wyniku działań opozycji politycznej). Warto wspomnieć, że od 2016 r. Unia Europejska postanowiła nie uruchamiać żadnych nowych tak zwanych programów wsparcia budżetowego w Armenii. Wsparcie budżetowe to programy, w których środki przekazywane są bezpośrednio na konta rządowe w zamian za wdrożenie uzgodnionych warunków. Trzeba było je zatrzymać właśnie z powodu poziomu korupcji w kraju.

Dla większości Ormian narastająca korupcja oznaczała osobiste upokorzenie. Podobnie jak w wielu innych krajach, stała się główną przyczyną społecznego niezadowolenia. Swobody polityczne pozostają ważne, bytowe wyrzeczenia nie są bez znaczenia, ale nic tak nie uwłacza poczuciu godności obywatelskiej, jak korupcja. Dlatego w dzisiejszych rewolucjach tak często chodzi o godność – nawet nie tyle o brak demokracji, nie tyle o wyrzeczenia ekonomiczne, nie tyle o wyzysk klasowy. Fukuyama powiedziałby, że dzisiejsze rewolucje to rewolucje tymotejskie.

Rewolucje tymotejskie są znakiem naszych czasów. Arabską wiosną i większość kolorowych rewolucji na przestrzeni poradzieckiej można jednoznacznie zdefiniować jako rewolucje *thymos*. Były

napędzane społecznymi emocjami. Były spontaniczne. Nie miały konkretnego ideologicznego zabarwienia. Były wyrazem zwykłej potrzeby uznania (izotymii w słowniku Fukuyamy).

Rewolucje tymotejskie nie są prawdopodobnie ostatnim rozdziałem w historii ludzkiego gniewu (jak prawdopodobnie określiliby to Sloterdijk). Rosnące wyzwanie polega na tym, że nawet w społeczeństwach demokratycznych funkcjonowanie dzisiejszych instytucji politycznych nie nadąża za zmianami społecznymi wywołanymi rewolucją technologiczną, która przyspieszyła wykładniczo. W przeszłości, choćby tysiąc lat temu, kiedy pojawiały się innowacje technologiczne, adaptacja wymagała od dwóch do trzech pokoleń. W ostatnich latach byliśmy w stanie skrócić czas adaptacji do 10–15 lat. Ale dzisiejszy postęp technologiczny – jak opisywał to Thomas Friedman – przytłacza naszą społeczną i osobistą zdolność do zabsorbowania zmiany. To rosnące niedopasowanie nieuchronnie powoduje napięcia w naszych społeczeństwach. Tradycyjne, sztywne instytucje mogą stać się nieskuteczne w zarządzaniu społeczeństwem. Gniew może lada chwila eksplodować. I to wszędzie, w każdym zakątku świata.

ZAWŁASZCZENIE PAŃSTWA

W społeczeństwie, w którym dobrze nie funkcjonuje nic oprócz instytucji i struktur państwa mających akumulować i dystrybuować dochody oraz zapewniać bezpieczeństwo, nie sposób zagwarantować sobie godnego życia bez koneksji z władzą.

Upadek komunizmu w Europie Wschodniej zdemolował stary system gospodarczy, zdeorganizował tkankę społeczną i zachwiał normami moralnymi. Państwo stało się jedynym gwarantem stabilności w rzeczywistości pełnej realnego i potencjalnego chaosu. Najlepszym politycznym przepisem na dobre przetrwanie było przejście kontroli nad państwem, czerpanie korzyści z jego parasola ochronnego, maksymalizacja zysków ekonomicznych. Nowa elita, która wyrosła na społecznych gruzach komunizmu, szybko uczyniła stabilność kluczowym paradygmatem w swoim programie politycznym. Musiała formalnie deklorować akceptację wartości demokratycznych, ale jednocześnie rozwijała system zapewniający jej ciągłą kontrolę władzy. Częścią tego systemu stała się rozbudowana maszynaria fałszowania wyborów. Ale jego najbardziej destrukcyjnym skutkiem było zniszczenie ważnych filarów demokracji: niezależnego sądownictwa, wolnych mediów i neutralnego politycznie aparatu przymusu.

W każdym systemie demokratycznym, jeśli jedna partia zbyt długo sprawuje władzę, zapewnia sobie coraz bardziej nieskrępowaną możliwość obsadzania stanowisk w kluczowych obszarach życia publicznego. Ale dla młodej demokracji brak rotacji politycznej oznaczać może totalną dewastację życia politycznego i publicznego.

W pierwszych latach po uzyskaniu niepodległości w Armenii tętniła prawdziwa i nieskrępowana demokracja. Trzecia Republika zrodziła się z masowego obywatelskiego aktywizmu. Ówczesny Ruch Karabaski jest uważany za kolebkę obywatelskiego zaangażowania. Okres wyłaniania się i krzepnięcia armeńskiej niepodległości jest do dziś kojarzony z – jak to nazywają niektórzy analitycy – karnawałowym społeczeństwem

obywatelskim. Pierwsze wybory w Armenii były niepodważalnie przejrzyste i uczciwe.

Od drugiej połowy lat 90. Armenia stopniowo stawała się demokracją tylko z nazwy. Wszystko wyglądało dobrze na papierze. Respektowano deklaratywnie normy konstytucyjne, instytucje państwowe przestrzegały konstytucyjnych ograniczeń. Ale ludzie nie ufali wynikom wyborów, nie darzyli zaufaniem decydentów, sądów, mediów. Wiedzieli, że uczestniczą w swoistym przedstawieniu teatru lalek – nawet jeśli postacie i sceneria były prawdziwe, za sceną ktoś inny (lider polityczny lub oligarcha) pociągał za niewidzialne sznurki.

System polityczny Armenii od połowy lat 90. stawał się coraz bardziej scentralizowany. Centralizacja władzy – do pewnego stopnia tłumaczona konfliktem w Górskim Karabachu, trudną sytuacją gospodarczą i wyzwaniem społecznymi – nieuchronnie doprowadziła do oligarchizacji polityki, pojawienia się politycznego kumoterstwa i ograniczenia przestrzeni dla swobód politycznych i aktywizmu. Stabilność stała się słowem-kluczem w narracji decydentów. Pod warstwą sztafażu politycznego umacniała się realna władza polityczna przejmująca kontrolę nad wszystkimi istotnymi instytucjami publicznymi, gospodarką, mediami i innymi dziedzinami życia.

I z czasem całkiem sporo ludzi potrafiło sobie wmówić, że była to najlepsza droga ku przyszłości, najlepsza i dla społeczeństwa jako całości, i dla nich osobiście. Wmawiali sobie, że państwo przecież musi być silne, kakofonia debat publicznych jest katastrofalna dla silnego państwa, kolektywna mądrość nie istnieje, a światła jednostka może najlepiej wiedzieć, co jest dobre dla społeczeństwa. Powiadają przecież nawet poważni

zachodni uczeni, że chaos jest zawsze bardziej destrukcyjny niż tyrania. Manipulacyjny zabieg ówczesnych elit polegał na kojarzeniu demokracji z nieuchronnym chaosem, choć taka korelacja nie musi przecież obowiązywać nawet w młodych i słabych demokracjach.

W państwach postsowieckich rozwinął się szczególny model zawłaszczenia państwa. Proces jego przejmowania opierał się na wykorzystaniu frustracji społecznej pierwszych lat transformacji, powszechnego strachu przed słabym państwem niezdolnym do zapewnienia podstawowych usług socjalnych (regularnych wypłat emerytur, zachowania powszechnej opieki zdrowotnej itp.), braku demokratycznych tradycji. Poszczególne państwa postsowieckie różniły się specyfiką owego modelu, ale jego istota wszędzie pozostawała ta sama. W niektórych krajach został on osadzony na reżimie dyktatorskim lub autokratycznym. W innych autokracja przybrała stosunkowo łagodną postać.

Rewolucja róż w 2003 r. w Gruzji, pomarańczowa rewolucja w 2004 r. w Ukrainie, rewolucja tulipanowa w 2005 r. (a także melonowa rewolucja w 2010 r.) w Kirgistanie oraz twitterowe protesty w Mołdawii w 2009 r. były pierwszymi poważnymi społecznymi reakcjami niezgody na proces zawłaszczania państwa przez elity postsowieckie. Ale – jak pokazały dalsze wydarzenia w tych krajach – zagrożenie powrotem starych porządków pozostaje wysokie nawet w przypadku zwycięstwa rewolucji.

Repatriymonializacja jest – jak opisał to Fukuyama – genetyczną słabością ludzi. Zawłaszczenie państwa jest jej najbardziej ekstremalną formą. Plemię polityczne tworzące rodzaj wielopokoleniowej politycznej rodziny przejmuje państwo na

własność. Burzy to istotę państwa i nieuchronnie prowadzi do jego rozpadu. Być może zmaganie się z repatrymonializacyjnymi instynktami genetycznymi pozostanie z nami na zawsze.

ZDERZENIE POKOLEŃ

Napięcie społeczne narastające przed rewolucją w 2018 r. nie da się sprowadzić do wymiaru politycznego, ideologicznego czy geopolitycznego. Było to w głębszej warstwie starcie międzypokoleniowe. Armenia stała się sceną zderzenia generacji.

Tarcia między pokoleniami są zjawiskiem globalnym. Procesy demograficzne zmieniają świat. Zachodnie społeczeństwa, ze względu na niski wskaźnik urodzeń poniżej współczynnika reprodukcji, ulegały procesowi starzenia. Wschód i Południe (zwłaszcza Afryka) charakteryzowały się szybkim wzrostem liczby ludności. Na początku naszego milenium pojawiła się polityczna przepowiednia sugerująca, że świat rozpołowi się na ostrożne, niechętne do podejmowania ryzyka, niezainteresowane zmianami stare społeczeństwa Zachodu, i na sfrustrowane, energiczne, niespokojne i gotowe do podejmowania ryzyka społeczeństwa Bliskiego Wschodu, Afryki i Zachodniej Azji. Na szczęście naukowe obserwacje uspokajają, że procesy demograficzne wykazują w długim okresie dość silną konwergencję. Prawdopodobnie więc wskaźnik urodzeń na Wschodzie zacznie niedługo się obniżać.

Międzypokoleniowe linie podziału w społeczeństwach mogą mieć charakter destabilizujący, ale, jak się okazało w latach

kryzysu na Zachodzie po 2008 r., można nimi zarządzać za pomocą mechanizmów politycznych.

Na przestrzeni postsowieckiej te różnice międzypokoleniowe mają specyficzny wymiar. Także w Armenii.

Stare pokolenie oceniało rzeczywistość, spoglądając wstecz i porównując ją do lat minionych. Lepsze życie to życie z przeszłości. Było to – używając neologizmu Baumana – pokolenie retrotopijne. Uważało ono, że problemy dnia dzisiejszego należy rozwiązywać, odtwarzając dobre rzeczy z przeszłości. Uosabiało pojęcie *homo sovieticus* (a raczej *postsovieticus*).

Nowe pokolenie oceniało rzeczywistość, porównując ją do życia ludzi na Zachodzie. Młodych nie interesowała przeszłość. Chcieli przyszłości związanej z zachodnim poziomem dobrobytu i wolności. Chcieli być postrzegani jako *homo occidentalis*.

Niektórzy twierdzą, że w kwietniu 2018 r. w Armenii *homo occidentalis* odniósł zwycięstwo nad *homo sovieticus*.

Rzeczywiście, tłum wypełniający wtedy ulice i place Armenii był wiekiem bardzo młody. Byli to głównie studenci lub dobrze wykształceni specjaliści (czasem bezrobotni), świadomi, że jest to ich ostatnia okazja, aby zapobiec stagnacji i pozbyć się systemu, który nie dawał im nadziei na lepszą przyszłość. Większość z nich urodziła się już po uzyskaniu przez Armenię niepodległości. Nie pamiętali czasu sowieckiego. Nie nosili piętna radzieckiej mentalności.

Jak wyjaśniał kiedyś Albert Hirschman – w obliczu stagnacji lub upadku instytucji politycznej mamy do wyboru trzy opcje: lojalność, rezygnację albo protest.

Dość spora część młodych Ormian opowiedziała się w przeszłości za lojalnością. Niektórzy z nich wspięli się na bardzo odpowiedzialne stanowiska w poprzednim systemie. Nie zawsze kierował nimi osobisty cynizm. Chociaż, jak zawsze, nawet najwyższe IQ nie mogło uchronić młodych ludzi przed polityczną ślepotą i przemianą w gorliwych pochlebców. Dla niektórych z tych młodych ludzi rewolucja była szokiem. Legły w gruzach ich starannie zaplanowane kariery życiowe, zwłaszcza w polityce. Niektórzy z nich nie wyzwolili się z tego szoku do dziś.

Wielu utalentowanych Ormian skorzystało z opcji rezygnacji, czyli w praktyce opuszczenia kraju. Armenia stała się jednym z państw najbardziej dotkniętych drenażem mózgów. Migrację ułatwiła niewątpliwie dobrze zorganizowana diaspora na całym świecie, istniejąca od długich stuleci. Obecnie spośród ponad 10 milionów Ormian na całym świecie tylko 3 miliony mieszka w Republice Armenii. Jednocześnie naród ten wypracował sobie opinię ludzi zdolnych do szybkiego i pełnego przystosowania się do lokalnej kultury. Ormianie za granicą harmonijnie się integrują, a jednocześnie zachowują swoją tożsamość.

Oficjalna stopa migracji netto w latach 90. wynosiła ponad minus 10 na 1000, a do 2019 r. była niezmiennie ujemna. Populacja Armenii spadła w ciągu ostatnich 30 lat z 3,7 do 3 milionów. Demografia stała się egzystencjalnym wyzwaniem dla kraju.

Najodważniejsi młodzi Ormianie wybrali opcję krytyki i sprzeciwu. Młode pokolenie napędzało aktywizm społeczeństwa obywatelskiego. Protest w ramach akcji „Elektryczny Erywań 2015” był głośnym wyrazem frustracji młodych, dobrze wykształconych Ormian. Nieprzypadkowo Nikol Paszynian w kwietniu 2018 r.,

po przybyciu ze swojego marszu do Erywania, natychmiast podjął próbę nawiązania kontaktu z młodym pokoleniem. I młodzi, nie tylko studenci i absolwenci uczelni, masowo przyłączyli się do protestów.

Jedną z niezwykle cich cech rewolucji armeńskiej był udział w niej wielu nastolatków, w tym dzieci. Niektórzy dyrektorzy szkół starali się temu zapobiec, wydając nawet polecenia zaryglowania szkolnych drzwi. Bez powodzenia. Nastolatki i studenci byli bardzo widoczną rewolucyjną grupą, zwłaszcza podczas blokad 2 maja 2018 r. Uczestnictwo młodzieży wywołało głosy oburzenia ze strony starej gwardii armeńskiej polityki. Byli oni wyraźnie nieświadomi faktu, że europejskie orzecznictwo praw człowieka, które rozciąga się także na Armenię, zdecydowanie określa, że dzieci traktować należy jako obywateli, którzy mogą i powinni korzystać ze swoich praw obywatelskich.

Ormiańska młodzież ma własną, specyficzną tożsamość. Według badań PEW Research młodzi Ormianie są, obok Gruzynów, najbardziej konserwatywną grupą pod względem wyznawanych wartości społecznych i kulturowych w Europie. Niektóre zagraniczne ośrodki próbowały fakt ten wykorzystać, mobilizując młodzież przeciwko Europie, w szczególności przeciw Unii Europejskiej. Sposoby tej manipulacji są dobrze znane z doświadczeń innych krajów poradzieckich. Owa narracja sprowadzała się do prymitywnej propagandy, że Europa to siedlisko zgniłego liberalizmu, dekadencji, permisywizmu – wszystkiego, co miało być sprzeczne z tradycyjnymi wartościami ormiańskimi. Większość armeńskiej młodzieży bynajmniej nie podążyła za tą narracją.

W sposób naturalny rewolucja armeńska wyniosła wielu młodych Ormian na wysokie stanowiska państwowe. Problemy

strukturalne utrudniające wykorzystanie potencjału armeńskiej młodzieży wymagają jednakże nadal rozwiązania.

Głównym wyzwaniem pozostaje reforma systemu edukacji. Ormianie cenią sobie bardzo wysoko jej jakość. Przez wieki życia pod obcymi rządami nauczyli się, że choć można ich pozbawić wszystkiego – domów i dobytku, to wszystko to, co pozostaje w ich głowach i umysłach, jest niezbywalne, i nawet najbardziej uciskający obcy despota nie może im tego odebrać. Inwestowali więc w wykształcenie. Dziś Ormianie – jak żartobliwie zauważył zagraniczny dyplomata – rodzą się z wysokim IQ. System edukacyjny Armenii jednakże przez dziesięciolecia od odzyskania niepodległości uległ degeneracji. Jeden z wysokich urzędników UE, który odwiedził Armenię, zapytawszy lokalnych biznesmenów, co stanowi główną przeszkodę dla rozwoju kraju, otrzymał prostą odpowiedź: „Zły stan edukacji!”.

Niedobór środków finansowych i zrujnowana infrastruktura nie ułatwiają reform. Jednak bez podjęcia kompleksowej reformy edukacji młodzież Armenii nie uzyska lepszych perspektyw życiowych, nawet jeśli tak wielu jej przedstawicieli stoi dziś na czele ważnych instytucji.

KOBIETY

Drugim filarem rewolucji armeńskiej – obok młodzieży – były kobiety. Na fotografiach z rewolucyjnych demonstracji zwykle dominują zaciekle męskie twarze. Zdjęcia z rewolucji armeńskiej pełne są uśmiechniętych kobiet. Niektórzy obserwatorzy nazwali ją żartobliwie rewolucją tenisówkową. Rzeczywiście, wiele Ormianek zamieniło buty na wysokich

obcasach, w których chodzą zwyczajowo nawet do pracy, na wygodne sportowe buty i dołączyło do marszów i demonstracji.

Niektórzy zachodni dyplomaci od dłuższego czasu określali kobiety armeńskie najbardziej niewykorzystaną grupą społeczną kraju. Niewykorzystaną we wszystkich aspektach – politycznym, gospodarczym, społecznym.

Okres sowiecki przyczynił się niewątpliwie do emancypacji kobiet w Armenii. Usunięto wtedy wszystkie formalne ograniczenia i promowano niedyskryminację. Ale pod względem kulturowym społeczeństwo armeńskie, a przynajmniej niektóre jego kręgi, było przywiązane do dość patriarchalnego modelu rodziny. Pewien lokalny aktywista zauważył kiedyś, że Ormianka musi praktykować schizofreniczny styl życia: poza domem wyglądać i zachowywać się jako w pełni wyemancypowana, a jednocześnie w domu akceptować bez sprzeciwu podporządkowaną mężczyźnie pozycję. Nawet jeśli to prawdziwa uwaga, model ten nie będzie obowiązywać zbyt długo.

Wypowiedzi niektórych nadal młodych i wykształconych armeńskich polityków płci męskiej mogą brzmieć w europejskich uszach dość mizoginicznie. Dlatego milczą oni na temat równouprawnienia i niedyskryminacji, kiedy spotykają się z zachodnimi partnerami politycznymi w ramach europejskich rodzin politycznych.

Niezwykłe po armeńskiej rewolucji było to, że mizoginiczne komentarze zniknęły z głównego nurtu dyskursu publicznego. Tylko niektórzy politycy dzisiejszej opozycji, obecnie odsunięci od władzy, sądzą, że mogą poprawić swoją pozycję wyborczą, odwołując się do atawistycznych instynktów.

Administracji Serża Sarkisjana należy się uznanie za doprowadzenie do przyjęcia ustawy przeciwko przemocy domowej. Niektóre siły w kraju próbowały wykorzystać tę okazję, aby podsycać antyzachodnią i antyeuropejską propagandę. Dla wszystkich było widoczne, że część z nich była inspirowana z zagranicy. Krążyły pogłoski, że kwestia ustawy o przemocy domowej została nawet postawiona na agendzie Rady Bezpieczeństwa Narodowego (oficjalny komunikat prasowy z tego spotkania wspominał jedynie, że Rada omawiała sytuację w Syrii). Chociaż przeważająca liczba członków Rady była przeciwna ustawie, kierownictwo państwa postanowiło doprowadzić do jej przyjęcia. Potraktowano ją jako konieczny dowód wiarygodności twierdzenia Ormian o wspólnocie wartości z Unią Europejską w kontekście przygotowań do podpisania umowy CEPA.

Rewolucja zaangażowała w politykę kilka nowych kobiecych postaci. Po raz pierwszy w historii Armenii kobieta została burmistrzem sporej wielkości miasta (Eczmiadzynu). Bezspornie, kobiety armeńskie są bardzo kreatywne, energiczne i przedsiębiorcze, obdarzone zdolnościami menedżerskimi. Wykorzystanie tego potencjału ma ważne znaczenie dla rozwoju kraju. Mogło napawać optymizmem, gdy premier Paszynian przedstawiał w 2019 r. swoje dwanaście priorytetowych projektów przywódcom Unii Europejskiej, bo na liście priorytetów znalazło się wzmocnienie pozycji kobiet. Niemniej jednak konieczne są dalsze konkretne działania.

Kwestia niedyskryminacji wymaga jeszcze w Armenii całościowego rozwiązania w sposób odpowiedzialny. Upředzeń wobec społeczności LGBTI, nadal bardzo widocznych w Armenii, nie sposób tłumaczyć, powołując się na tak zwane tradycyjne

wartości rodzinne. Ormianie muszą zaakceptować, że niedyskryminacja to zwyczajnie ochrona praw i godności wszystkich obywateli bez wyjątku, to budowanie społeczeństwa bez obywateli drugiej (gorszej) kategorii. Niestety ataki na społeczność LGBTI zdarzają się wszędzie, również w krajach UE. Liczy się jednak zawsze, jak reagują na nie elity, oraz to, co rząd mówi i robi. Szczególną odpowiedzialność powinni odczuwać ci decydenci, którzy większość życia spędzili w społeczeństwach otwartych i tolerancyjnych. Lubią tam bywać i robić interesy, ale schizofrenicznie wręcz uważają, że Ormianie u siebie nie są na taką tolerancję gotowi – całkiem cyniczne przekonanie nawet jak na polityka czy dyplomatę.

SPOŁECZEŃSTWO OBYWATELSKIE

Przed rewolucją Armenia była znana z aktywnego i wiarygodnego społeczeństwa obywatelskiego. Aktywistyczna część archipelagu organizacji pozarządowych rzeczywiście charakteryzowała się profesjonalizmem i odwagą. obrońcy praw człowieka, grupy antykorupcyjne, obrońcy wolnych mediów, reformatorzy wymiaru sprawiedliwości stali na czele wysiłków na rzecz promowania w Armenii wartości demokratycznych. Organizacje takie jak Helsiński Komitet Armenii – obrońcy Praw Człowieka, Helsińskie Zgromadzenie Obywatelskie – Wanadzor, Klub Dziennikarzy „Asparez”, Transparency International – Centrum Antykorupcyjne, Fundacja Otwarte Społeczeństwo – Armenia, Stowarzyszenie „Europa w Prawie”, Związek Poinformowanych Obywateli, Ochrona Prawa bez Granic, Postępowa Młodzież Ormiańska i wiele

innych odgrywały ważną rolę w walce o obronę standardów europejskich w Armenii.

Nowym elementem, który pojawił się w latach poprzedzających rewolucję, były szerokie ruchy oddolne sformowane wokół kwestii ekologicznych i miejskich. Inicjatywy takie jak Teghut Civic Initiative, Protect Trchkan Waterfall Movement, Mashtots Park Initiative potrafiły w latach 2012–2014 zmobilizować stosunkowo szerokie publiczne poparcie. Pokazały społeczeństwu, że mówiąc silnym głosem, można wymusić na decydentach zmianę arbitralnych decyzji administracyjnych. Te akcje protestacyjne były z gruntu apolityczne, niesterowane przez partie polityczne ani inne zorganizowane grupy; były bardzo otwarte, przejrzyste i egalitarne. Armenia stała się jednym z nielicznych społeczeństw poradzieckich, w których udało się zorganizować masowe ruchy nieposłuszeństwa obywatelskiego (np. ruchy „Nie płacę 150 dram”, „Dem em”). Te masowe protesty i ruchy obywatelskiego nieposłuszeństwa pokazały, że nawet w Armenii istnieją granice sobiepaństwa władzy. Angażowały zwykłych ludzi, którzy na co dzień byli daleko od polityki. I pomogły wyleczyć Ormian ze strachu przed władzą.

Grupa rządząca pozostawiała całkiem przyzwoitą przestrzeń dla wolności słowa i zgromadzeń. Stosunek decydentów do społeczeństwa obywatelskiego wypływał z ich starań o dobry wizerunek w relacjach z Zachodem. Działacze społeczeństwa obywatelskiego skarżyli się co prawda, że władze traktują ich jak utrapienie, przysłowiową zadrę, którą muszą przez wzgląd na Zachód tolerować, ale nigdy przed rewolucją nie miały zamiaru traktować poważnie.

Niekiedy jednak rząd przysłuchiwał się wypowiedziom organizacji pozarządowych, a czasem wręcz dość neurotycznie na nie reagował. W listopadzie 2016 r. armeńska platforma społeczeństwa obywatelskiego w ramach Partnerstwa Wschodniego opracowała rezolucję w sprawie więźniów politycznych w Armenii. Armeńscy wysocy urzędnicy robili wszystko, co się dało, aby zapobiec jej przyjęciu, grożąc nawet zawieszeniem członkostwa Armenii w Partnerstwie Wschodnim. Oczekiwali, że instytucje UE wywrą odpowiedni wpływ na społeczeństwo obywatelskie. Było to oczywiście dowodem na ich nieznamość ducha, w jakim UE buduje swoje relacje ze społeczeństwem obywatelskim. Kolejna próba interwencji politycznej ze strony władz nastąpiła w lipcu 2017 r., kiedy to organizacje społeczeństwa obywatelskiego przygotowywały oświadczenie w obronie stanowiska UE w sprawie wyborów.

W kilku sytuacjach Zachód musiał działać jako pośrednik między rządem a społeczeństwem obywatelskim. Za każdym razem Zachód zachęcał rząd do bezpośrednich rozmów ze społeczeństwem obywatelskim. Niestety z niewielkim rezultatem. Znakiem systemowego uprzedzenia ówczesnego rządu do społeczeństwa obywatelskiego był fakt, iż niektórzy urzędnicy wysokiego szczebla w Armenii nie chcieli zaliczać funduszy UE przeznaczonych na projekty społeczeństwa obywatelskiego do sumarycznych zestawień dwustronnej pomocy. Pieniądze przekazywane do organizacji społeczeństwa obywatelskiego w Armenii nie były uznawane przez rząd jako wsparcie dla Armenii. Większość tych pieniędzy w latach 2015–2019 przeznaczono na różne projekty społeczne, inicjatywy na rzecz przedsiębiorczości społecznej i konkretne projekty na rzecz zwykłych Ormian. W pewnym momencie organizacje

pozarządowe obawiały się, że Armenia zacznie naśladować wprowadzanie ograniczeń dla społeczeństwa obywatelskiego praktykowane w innych państwach Unii Eurazjatyckiej, w tym dotyczące pojęcia „obcych agentów”. Oddać należy sprawiedliwość ówczesnemu rządowi, że nigdy na to nie poszedł.

Działacze społeczeństwa obywatelskiego byli ważnym czynnikiem kształtującym nastrój społeczeństwa armeńskiego. Opozycyjne partie polityczne musiały się z tym liczyć. Pewien zachodni dyplomata, gdy zapytał jednego z ówczesnych przywódców opozycji: „Co możemy dla was zrobić?”, usłyszał tylko jedną prośbę: „Pomóżcie nam nawiązać łączność ze społeczeństwem obywatelskim”.

Niektórzy analitycy wskazują, że model protestu rewolucji z 2018 r. wyłonił się z doświadczeń związanych z nieposłuszeństwem obywatelskim i ruchami protestacyjnymi. Prawdopodobnie to tam zrodziła się idea uczynienia placu Republiki centralną sceną protestów, zablokowania głównych ulic w centrum miasta, sparaliżowania pracy administracji centralnej. Działacze obywatelscy uważali ponadto, że protesty należy uwolnić z kontekstu wyborczego. Powinny one dotyczyć nie tyle unieważnienia czy powtórzenia sfalszowanych wyborów, ile całościowej zmiany systemu.

Niektórzy działacze społeczeństwa obywatelskiego odegrali widoczną rolę w rewolucji. Uważa się, że ich poparcie dla Nikoła Paszyniana było decydującym czynnikiem sukcesu rewolucji. I sprawiło, że rewolucja stała się logicznym zwieńczeniem wszystkich poprzednich prób podważenia systemu władzy panującego w Armenii.

Niektórzy działacze społeczeństwa obywatelskiego zostali w trakcie protestów zatrzymani i byli prześladowani. Niektórzy co prawda pozostawali z boku, ale uczciwie popierali demonstracje.

Niektórzy decydenci próbowali, w prywatnych rozmowach, w dość niezdatny sposób wykorzystać czynniki społeczeństwa obywatelskiego, aby oskarżać Unię Europejską o popieranie protestów. „Ludzie, których wspieracie finansowo, przemaszają ze sceny do demonstrantów”. Owi urzędnicy nie chcieli wiedzieć, że UE nie wspiera osób fizycznych, lecz wyłącznie projekty wybrane na zasadach konkurencyjnych. Nawiasem mówiąc, projekt, który w paranoicznych oczach niektórych urzędników łączył UE ze sceną na placu Republiki, dotyczył osób niepełnosprawnych.

Podczas gdy ruchy obywatelskie nabierały w Armenii rozmachu i siły, aktywność obywatelska na szczeblu lokalnym była dość anemiczna. Niektórzy obserwatorzy przypisywali tę obywatelską pasywność dziedzictwu Związku Sowieckiego. System radziecki zniechęcał do samopomocy i inicjatywy lokalnej. Ludzie wiedzieli, że jeśli pojawia się jakiś problem, to obowiązkiem państwa lub partii było go rozwiązać. Trzeba czekać, aż go rozwiążą, zamiast samemu się trudzić. Wraz z rozpadem Związku Sowieckiego odruchy te przekształciły się w syndrom „wyuczony bezradności”. W większości lokalnych społeczności, w małych osiedlach i wioskach, ludzie przyjmowali biernie założenie, że i tak nic nie da się zrobić, aby poprawić ich życie. Obraz ten kontrastował z bardzo szlachetną reputacją Ormian w diasporze, znanych z wysokiego poziomu aktywizmu społecznego. I rzeczywiście, przez stulecia Ormianie nauczyli się,

że nie mając własnego państwa, muszą przede wszystkim polegać na sobie.

Wielkim wyzwaniem dla Armenii po rewolucji jest doprowadzenie do świadomości Ormian, że aktywność społeczna na szczeblu lokalnym jest jednym z kluczowych elementów pomyślnego rozwoju i silnej demokracji. Ludzie powinni kształtować w sobie nawyk przejmowania inicjatywy w swoje ręce (przy wsparciu i zachęcie ze strony instytucji rządowych). Bez skruszenia mentalności *homo sovieticus* we wszystkich jej wcieleniach Armenia nie będzie w stanie rozwijać się z nową dynamiką.

Po rewolucji wielu działaczy społeczeństwa obywatelskiego zostało powołanych na urzędy publiczne, a wiele organizacji pozarządowych udzieliło moralnego i politycznego poparcia dla zmian i polityki rządu. Wystawiło to ich wiarygodność jako społeczeństwa obywatelskiego na poważną próbę. Z czasem zarówno tempo reform, jak i ich treść przestały satysfakcjonować różne grupy społeczeństwa obywatelskiego. Dotyczyło to w szczególności reformy wymiaru sprawiedliwości i sprawiedliwości okresu przejściowego, ustawodawstwa i polityki antydyskryminacyjnej, reformy policji, ustanowienia instytucji antykorupcyjnych. Działacze pozarządowi stanęli przed poważnym dylematem: jak wyrazić swoją krytykę, nie podważając jednocześnie pozycji rządu, który ucieleśniał przecież ich nadzieje i aspiracje, i nie stając w jednym szeregu z grupami *ancien régime*'u. Niektórzy z tych działaczy społeczeństwa obywatelskiego próbowali tworzyć nowe partie polityczne. Do tej pory bez widocznego wszakże sukcesu (jak np. w przypadku partii „Decyzja obywatelska”). Jeśli jednak Armenia ma zreformować

swoją scenę polityczną i życie polityczne, ruchy obywatelskie powinny odgrywać w niej ważną rolę katalizatora.

Zagranicznym obserwatorom trudno było zrozumieć, że liderzy armeńskiej rewolucji nie żywili żadnych ambicji zbudowania masowego ruchu dla poparcia celów i reform rewolucji, który zjednoczyłby wszystkie grupy jej sprzyjające, byłych opozycjonistów i osoby prześladowane przez władze w przeszłości, społeczeństwo obywatelskie, osobistości, celebrytów, ale przede wszystkim zaangażowałby wszystkich owych anonimowych demonstrantów, którzy wypełniali place i ulice, a którzy nigdy wcześniej nie byli związani z żadną formą aktywności obywatelskiej. Wielu utalentowanych ludzi, w tym niektórzy byli działacze opozycji z pięknymi biografiami politycznymi i niekwestionowanymi kompetencjami, pozostawało po rewolucji w bezczynności, bez żadnych ofert ich zaangażowania. Na ich poglądy i opinie nie było popytu. Jakby Armenia cierpiała z powodu nadwyżki ludzkiej mądrości i energii.

Przywódcy nowej Armenii pozwolili wprowadzić swojej partii „Kontrakt Obywatelski” poszerzać bazę członkowską, ale zaczęli się obawiać, że może to przyciągnąć zbyt wielu ludzi, którzy po prostu zawsze dążą do bycia w partii władzy, niezależnie od jej ideologicznych czy innych zapatrywań. Z czasem masowe członkostwo zmieniłoby nawet najbardziej przyzwoitą partię w kolejny „związek zawodowy funkcjonariuszy”, jak to miało miejsce w przeszłości. Zatrzymano więc proces szybkiej ekspansji. Pozostała jednak ogólna kwestia, jak utrzymać nie tylko poparcie publiczne, ale także zaangażowanie obywatelskie w obliczu trudnych wyzwań dla porewolucyjnej Armenii.

Strategia odwoływania się bezpośrednio do ludzi i wyprowadzania ich na ulice w czasie testów politycznych sprawdziła się jeszcze całkiem dobrze w październiku 2018 r. podczas kryzysu wokół Zgromadzenia Narodowego (kiedy parlamentarzyści Partii Republikańskiej i ich sojusznicy próbowali zablokować możliwość wcześniejszych wyborów). Jednak można stwierdzić, że metoda ta wyczerpywała się już w maju 2019 r. podczas blokady sądów zwołanej przez premiera Paszyniana po decyzji o zwolnieniu Roberta Koczariana, byłego prezydenta Armenii, z aresztu tymczasowego.

OCENY PARTNERÓW

Jest oczywiste, że sytuacja w Armenii przed rewolucją, w jej trakcie i po niej była różnie oceniana przez jej partnerów międzynarodowych, nawet w kręgu państw zachodnich.

Niektórzy zachodni ambasadorzy, krytycznie oceniając politykę Serża Sarkisjana, uważali wszakże, że każda alternatywa może być tylko gorsza. Trzeźwo analizowali oni sytuację w kraju, potępiali poziom korupcji, nepotyzm, złe zarządzanie gospodarką, polityczną kontrolę nad sądownictwem, mediami, ograniczenia w korzystaniu z praw człowieka, w tym prześladowania polityczne. Twierdzili jednak, że w porównaniu z niektórymi innymi państwami poradzieckimi sytuacja w Armenii była całkiem znośna. Ostatecznie, opozycja była reprezentowana w parlamencie, media były dość pluralistyczne, społeczeństwo obywatelskie mogło funkcjonować i otrzymywać wsparcie z zagranicy, można było zwoływać demonstracje i przeprowadzać akcje obywatelskiego nieposłuszeństwa. Serż Sarkisjan dość

umiejętnie wykorzystywał członkostwo Partii Republikańskiej w Europejskiej Partii Ludowej, aby przekonywać zachodnich partnerów do wyrozumiałego traktowania sytuacji wewnętrznej w Armenii.

Ale były w zachodnim kręgu dyplomatycznym silne głosy, że kontynuacja rządów Serża Sarkisjana oznaczałaby jedynie dalszą stagnację, która miałaby dla Armenii egzystencjalne konsekwencje. Poza wszystkim Ormianie, nawet bardziej niż niektóre inne narody w regionie, żywili silne aspiracje do życia w państwie typu zachodniego, czego polityka Serża Sarkisjana oferować w żaden sposób nie mogła.

W jednej sprawie panował silny konsensus – Zachód nie powinien w żaden sposób zmuszać Armenii do dokonywania geopolitycznego wyboru. W niektórych innych krajach post-sowieckich podobne przesłanie spotykało się często z ripostą: „Ale my chcielibyśmy, żeby Zachód zmusił nas do podjęcia geopolitycznego wyboru”, nigdy jednak w Armenii. Czasami oczywiście pojawiały się między Armenią i Unią Europejską nieporozumienia co do sposobu postrzegania geopolitycznych aspektów pewnych wydarzeń. Najlepszym przykładem może być kwestia zarzuconej umowy stowarzyszeniowej wynegocjowanej między Unią a Armenią. Kiedy w 2013 r. europejscy urzędnicy wskazywali na możliwą niezgodność stowarzyszenia z członkostwem Armenii w Eurazjatyckiej Unii Gospodarczej, kierowali się jedynie czysto technicznym punktem widzenia. Chodziło w nim o niemożność bycia jednocześnie w dwóch różnych reżimach handlowych. Ormianie interpretowali owe tezy o niekompatybilności z perspektywy geopolitycznej, być może nie bez zewnętrznej inspiracji.

Zachód ze swej strony zachęcał Armenię do prowadzenia wielowymiarowej polityki zagranicznej, jaką deklarowały niezmienne wszystkie armeńskie rządy po uzyskaniu niepodległości. Zawsze jednak konsekwentnie czekał on na inicjatywę ze strony Armenii, w jaki sposób chce ona określić i wykorzystać posiadaną swobodę manewru. Jednocześnie Zachód odrzucał koncepcję wyłącznych stref wpływów w regionie i inne im podobne koncepcje.

Brak jakichkolwiek podtekstów geopolitycznych sprawił, że polityka Zachodu wobec Armenii była bardzo przejrzysta i wolna od ukrytych celów. Nawet jeśli niektórzy zwolennicy teorii spiskowych mówią dziś inaczej.

Kolejnym jednoczącym elementem polityki Zachodu było to, że należy robić wszystko, aby zapobiec rozwojowi sytuacji wewnętrznej w Armenii, który doprowadziłby do przemocy i destabilizacji. Był to także główny punkt komunikatów politycznych przekazywanych przez zachodnich dyplomatów władzom podczas rewolucji. Zachodowi chodziło przede wszystkim o uniknięcie powtórzenia wydarzeń z 1 marca 2008 r.

Przypomnijmy, że po wyborach prezydenckich w Armenii w lutym 2008 r., które doprowadziły do przejścia władzy przez Serża Sarkisjana, w Armenii doszło do masowych protestów przeciwko oszustwom wyborczym, które opozycja zarzuciła władzom. W zamieszkach 10 osób straciło życie, a 200 zostało rannych. Aresztowano ponad 100 działaczy opozycji, tysiące osób były szykanowane.

Dla wielu Ormian wydarzenia z 2008 r. stały się punktem przełomowym w kształtowaniu ich obywatelskiej tożsamości. Były wydarzeniem traumatycznym. Dla zwykłych Ormian

oznaczały coś, co nigdy w ich historii nie miało prawa się powtórzyć. Miały one wpływ – jak to ujmowali niektórzy Ormianie – na „syndrom behawioralny” rządzącej elity. Decydenci wiedzieli, że nie mogli sobie pozwolić w 2018 r. na rozwiązywanie siłowe, jakie zastosowano dziesięć lat wcześniej. Jak zauważył pewien Ormianin: „Serż wystrzelił swój ostatni pocisk w 2008 r.” Niektórzy postrzegają wydarzenia z 2008 i 2018 r. w kategoriach organicznego związku. Rzeczywiście, niektórzy z kluczowych aktorów z 2008 r. byli też centralnymi postaciami w roku 2018, w tym osobiście Serż Sarkisjan i Nikol Paszynian. Uproszczeniem byłoby wszakże postrzegać rewolucję w 2018 r. jako rodzaj pomszczenia rozlewu krwi w 2008 r. W protestach z 2008 r. chodziło przede wszystkim o zakwestionowanie wyników wyborów, tak aby zmusić decydentów – podobnie jak kilka lat wcześniej na Ukrainie – do ponownego, ale już uczciwego, przeprowadzenia wyborów. W roku 2018 protest był wyrazem skumulowanego poczucia straconych lat, a ludzie domagali się już całkowitej przebudowy kraju.

Dość szybko po swojej reelekcji w 2013 r. (znów mocno zakwestionowanej) Serż Sarkisjan wspomniął o konieczności przejścia od systemu prezydenckiego do parlamentarnego modelu rządzenia. Opozycja zdecydowanie odrzuciła te zamiary, twierdząc, że ich jedynym celem było utrwalenie rządów Sarkisjana i przekształcenie Armenii w państwo jednopartyjne. Opozycja zmanifestowała wysoki stopień jedności w tej sprawie, jednak po początkowych sukcesach nie była w stanie wykorzystać tej kwestii do zmobilizowania społeczeństwa przeciw władzom. Obóz rządzący pospiesznie przeprowadził poprawki konstytucyjne przez parlament i poddał je w grudniu 2015 r. pod powszechne głosowanie.

Reforma konstytucyjna w Armenii wywołała na Zachodzie różne reakcje. Niektórzy zachodni dyplomaci byli dość sceptycznie nastawieni do planu przejścia na model parlamentarny. Obawiali się, że stanie się to zwykłą przykrywką dla jeszcze bardziej scentralizowanych i autorytarnych rządów. Inni, nie kwestionując negatywnych krótkoterminowych skutków, twierdzili wszakże, że tryb parlamentarny może przyczynić się do wprowadzenia w Armenii nowej dynamiki w polityce wewnętrznej w dłuższej perspektywie, a w szczególności pomóc w rozładowaniu możliwych kryzysów politycznych, unikając rozwiązań „wszystko albo nic”, jak to miało miejsce w innych państwach. Niektórzy z nich twierdzili, że nowe poprawki konstytucyjne są politycznie możliwe do zaakceptowania, nawet jeśli nadmiernie skoncentrują władzę w rękach premiera. Inni zachodni dyplomaci do nowej konstytucji nastawieni byli krytycznie, zarzucając, że była zbyt jawnie skrojona pod konkretną postać polityczną. Wszyscy zachodni dyplomaci byli zniesmaczeni nieprawidłowościami, do jakich doszło podczas referendum konstytucyjnego w 2015 r. Zagraniczni obserwatorzy ocenili referendum krytycznie, a ocenę tę podzieliły zachodnie kręgi dyplomatyczne. Mimo to panowało przekonanie, że partia rządząca powinna dostać szansę, aby udowodnić, że reforma konstytucyjna polepszy stan demokracji w Armenii.

Niedługo potem władze zwróciły się do Zachodu z prośbą o pomoc w poprawie standardów wyborczych. Pierwsze reakcje były zróżnicowane. Niektórzy zachodni dyplomaci postrzegali to jako szansę na wprowadzenie do praktyki wyborczej standardów technicznych, które wyeliminowałyby możliwość manipulacji i uczyniłyby wynik wyborów bardziej wiarygodnym. Inni uważali, że społeczność międzynarodowa powinna trzymać się

z dała od jakiegokolwiek nawet niewielkiej pośredniej odpowiedzialności za organizację wyborów. Dla Unii Europejskiej dodatkowym wyzwaniem było to, że nigdy nie była ona zaangażowana w kwestie wyborcze na obszarze Europy. Ostatecznie Zachód zajął stanowisko konstruktywne, aby wykorzystać wsparcie finansowe do zdemokratyzowania procesu wyborczego. W związku z tym wysunął wobec władz konkretne warunki pomocy. Najważniejszy polegał na tym, że wszelkie techniczne ustalenia powinny opierać się na porozumieniu między koalicją rządową i opozycją. Doprowadziło to do utworzenia bezprecedensowej nieformalnej platformy negocjacji między rządem a niektórymi partiami opozycyjnymi. Przeprowadzono je w dwóch odsłonach. Pierwsze porozumienie osiągnięto w czerwcu 2016 r. Przewidywało ono nową procedurę głosowania (obejmującą m.in. wstępną rejestrację wyborców), która zasadniczo wyeliminowałaby głosowanie wielokrotne lub przez podstawione osoby, a także inne nieuczciwe techniki. Jednakże strona rządowa oświadczyła nagle w lipcu 2016 r., że uzgodnionej opcji nie da się wdrożyć. Nie godziła się przy tym na rozwiązania alternatywne.

Ku zaskoczeniu potencjalnych darczyńców w połowie sierpnia 2016 r. rząd złożył opozycji nową ofertę. Opozycja była gotowa ją konstruktywnie rozważyć, ponieważ przewidywała ona możliwość upublicznienia listy wyborców (co było wcześniej postulatem opozycji odrzucanym przez władze). Tym razem opozycja uwarunkowała swój udział w rokowaniach zaproszeniem do stołu obrad także przedstawicieli społeczeństwa obywatelskiego. Grupa ekspertów społeczeństwa obywatelskiego aktywnie przyłączyła się do dialogu, ale ostatecznie zdecydowała się porozumienia końcowego nie podpisywać. Ostateczny

kompromis osiągnięty na początku października dotyczył tylko technicznych aspektów wyborów. Strona rządowa, dla przykładu, nie chciała zaakceptować żądania opozycji co do rezygnacji z systemu list rankingowych. Zachodni partnerzy także starali się przekonać władze do zarzucenia tej koncepcji. Obawiali się, że wywoła ona nieczystą grę, która zepsuje wizerunek wyborów. Władze jednakże szły w zaparte. Istotnie, Partia Republikańska postrzegała listy rankingowe jako narzędzie pozyskiwania środków finansowych na podkupienie i przekupienie wyborców. Ich kandydaci, nawet konkurując ze sobą, wnosili summa summarum pieniądze do wspólnej skarbonki – funduszu wyborczego Partii Republikańskiej.

W świetle porozumienia osiągniętego między rządem a opozycją międzynarodowi darczyńcy postanowili wesprzeć finansowo instalację nowych technologii wyborczych.

Niektórzy działacze opozycji mieli pełne prawo kwestionować tę konstruktywną linię Zachodu w świetle wyniku wyborów w 2017 r. Jednakże od samego początku motywy Zachodu były długoterminowe. Potwierdziły to wybory w grudniu 2018 r., kiedy owe rozwiązania technologiczne pomogły zapewnić najlepszy standard wyborów w Armenii od początku lat 90.

We wrześniu 2016 r. premierem rządu Armenii został Karen Karapetian. Jego nominacja została nieco opóźniona przez wojnę kwietniową (i zakończyła, i tak iluzoryczne, aspiracje do sukcesji po Sarkisjanie za strony poprzedniego premiera – Howika Abrahamiana). Karapetian zrobił solidne wrażenie na społeczności międzynarodowej. Po spotkaniu z nim w listopadzie 2016 r. pewien urzędnik wysokiego szczebla z Brukseli

wyznał: „facet robi najlepsze wrażenie spośród wszystkich premierów Partnerstwa Wschodniego”. Karapetian był prawdopodobnie pierwszym premierem Armenii, który miał dość odwagi, aby głosić bardzo realistyczną ocenę (dość opłakanej) sytuacji odziedziczonej przez jego rząd. Jego ministerialny team był z technokratycznego punktu widzenia bardzo profesjonalny. Międzynarodowi darczyńcy dość szybko odczuli pozytywną zmianę stylu w pracy nowego rządu. Karapetian otwarcie ogłosił cel promowania europejskiego modelu zarządzania w Armenii. A zacząć chciał od uproszczenia i usprawnienia procesu decyzyjnego rządu.

Musiał mieć świadomość, że międzynarodowi partnerzy doceniają jego wysiłki. Nie mieli oni złudzeń, że Karapetian był produktem starego systemu i jego integralną częścią. Nie miał własnego zaplecza politycznego, był całkowicie zależny od Sarkisjana i mógł w każdej chwili okazać się po prostu kolejną „marionetką” w jego rękach. Niektórzy przypomnieli sobie jego dezercję w 2011 r. ze stanowiska burmistrza Erywania po zaledwie kilku miesiącach, przewidując, że w obliczu prawdziwego testu charakteru znów wybierze ucieczkę zamiast walki.

Niektórzy lokalni komentatorzy atakowali Karapetiana jako polityka „Rosji i z Rosji”, ale nowa nadzieja i energia, które wywołała jego nominacja, były odczuwalne. Musiał on jednak działać w systemie władzy, który ograniczał pole dla reform. Najlepsze, co mógł zrobić, to poprawiać rzeczy drobne, racjonalizować kwestie drugorzędne bez dotykania rdzenia systemu władzy. Mógł teoretycznie powiększać swoje oddziaływanie metodą małych kroków, przesuwać się powoli jak po spirali do jądra systemu rządzenia. Czy udałoby mu się odnieść

sukces w tym procesie i jak długo by to zajęło, można jedynie spekulować.

Rewolucja zmieniła tę logikę. Teraz można było zająć się sednem rzeczy, zaatakować rdzeń źle funkcjonującego systemu politycznego i gospodarczego, usunąć pierwotne przyczyny zła, a następnie przechodzić stopniowo do spraw pochodnych i drugoplanowych.

Nominacja Karapetiana i niektórych innych osób w administracji centralnej (takich jak Armen Geworkian, który został szefem administracji prezydenta) na początku jesieni 2016 r. wywołała w ormiańskich mediach społecznościowych wiele spekulacji na temat wzrostu wpływów drugiego prezydenta Armenii – Roberta Koczariana. Niektóre z tych osób były z nim w przeszłości powiązane. Miejscowi obserwatorzy odczytali to jako próbę konsolidacji obozu władzy w obliczu groźby niestabilności, której zwiastunem był atak „Sasna Tsrer” w lipcu 2016 r.

Jednakże już latem 2017 r. pojawiły się pęknięcia w obozie rządzącym. Analitycy mówili o rosnącym napięciu między starą kamarylą wokół Serża Sarkisjana, hunwejbiniami w szeregach Partii Republikańskiej z jednej strony, a skupionymi wokół Karena Karapetiana technokratami z drugiej strony. W rzeczy samej, niektóre krytyczne głosy skierowane przeciwko Karenowi Karapetianowi wyraźnie dochodziły ze strony starej kamaryli. Oceniano wszakże, że Sarkisjan był w stanie załagodzić napięcia i, co najważniejsze, skutecznie odeprzeć wyzwanie ze strony Koczariana. Niektórzy analitycy tłumaczyli, że podpisanie umowy CEPA i gotowość do zawarcia porozumienia w sprawie Górskiego Karabachu pomogły mu umiejętnie

wykorzystać czynniki międzynarodowe do umocnienia własnej pozycji politycznej na szczytach władzy. U progu rewolucji 2018 r. Sarkisjan w pełni kontrolował sytuację.

Dla większości armeńskich komentatorów było jasne, że gdyby to w 2018 r. Karapetian został mianowany premierem zamiast Serża Sarkisjana, do rewolucji nigdy by nie doszło. Jednak już latem 2017 r. niektóre publiczne komentarze funkcjonariuszy Partii Republikańskiej wskazywały na to, że do sukcesji prawdopodobnie nie dojdzie. Na początku listopada 2017 r. stało się jasne, że dotarło to już do Karapetiana, i że taki obrót spraw on zaakceptował. Później pojawiły się co prawda pogłoski, że jacyś wysłannicy rozczarowanego Karapetiana próbowali nawiązać kontakt z opozycją i osobiście z Paszynianem pod koniec 2017 r., aby wysondować możliwość powstrzymania Sarkisjana przed kontynuowaniem jego rządów. Mało kto jest w stanie potwierdzić te plotki lub im zaprzeczyć, ale tysiące chętnie w nie uwierzyły.

Rewolucja, która wybuchła, miała charakter wyłącznie lokalny, ze wszech miar endemiczny. Żadna siła zewnętrzna, czy to z Zachodu, czy ze Wschodu, za nią nie stała i nie była w żaden sposób zaangażowana. Prawdą jest, że niektórzy urzędnicy z kręgu Serża Sarkisjana próbowali oskarżyć niektórych zachodnich dyplomatów w okresie przedrewolucyjnym o to, że próbowali oni w Armenii wzniecić kolejną kolorową rewolucję. A dyplomaci ci przekornie ripostowali, że to właśnie ówczesne przywództwo armeńskie, tolerując korupcję, nepotyzm polityczny i bezkarność, stawało się głównym architektem możliwej rewolucji.

Wielu dyplomatów obawiało się, że próba detronizacji Serża Sarkisjana spotka się z silnym oporem władzy i nieuchronnie doprowadzi do zaostrzenia represji, ograniczenia praw i swobód, co jeszcze bardziej odseparuje Armenię od Zachodu. Niektórzy dyplomaci podzielali to przekonanie nawet w trakcie rewolucji. Niektórzy bynajmniej nie. Wierzyli oni, że Ormianie okażą wystarczającą mądrość i poczucie wspólnoty. I jak potwierdziły przyszłe wydarzenia, mieli rację.

TIMING

Timing jest kluczowym pojęciem w polityce. Chodzi w nim o mówienie i robienie właściwych rzeczy we właściwym czasie. Historia pełna jest przypadków, gdy politycy mówili właściwe rzeczy i próbowali podejmować właściwe działania, ale w niewłaściwym momencie. Żaden z nich nie odniósł wielkiego sukcesu w polityce.

Teoretycy rewolucji, w szczególności szkoła marksistowsko-leninowska, łączą timing z koncepcją momentu rewolucyjnego. Nic na wiosnę 2018 r. nie wskazywało, by ktokolwiek miał przeczucie, że taki moment się zbliżał.

Niektóre grupy opozycyjne próbowały wtedy zmobilizować społeczeństwo przeciwko kontynuacji rządów Serża Sarkisjana. Ale zgromadzenia lub marsze protestu nie przyciągały dużych tłumów. Mniej niż 1000 osób przyszło na plac Wolności (gdzie odbywało się wiele demonstracji politycznych po uzyskaniu niepodległości), mniej niż 200 osób pomaszzerowało na ulicę Melik-Adamiana (gdzie mieściła się siedziba Partii

Republikańskiej) w marcu i na początku kwietnia 2018 r. Dla każdego postronnego obserwatora demonstracje te zupełnie nie interesowały zwykłych Ormian.

Spółczesność armeńska wydawała się pogrążona w głębokiej apatii.

Zagraniczni obserwatorzy dość wcześnie dowiedzieli się, że Nikol Paszynian planuje pod koniec marca lub na początku kwietnia 2018 r. tzw. długi marsz przeciwko Serżowi Sarkisjanowi. Dowiedzieli się, że blok opozycyjny „Wyjście” był w sprawie marszu podzielony. Pozostałe dwie formacje („Oświecona Armenia” i „Republika”) odmówiły przyłączenia się do „Kontraktu Obywatelskiego” Paszyniana. Tłumaczyły to obawami, że akcja uliczna może sprowokować przemoc o nieprzewidzianych konsekwencjach. Mówiono, że Paszynian był wszakże zdeterminowany, aby realizować swój plan nawet bez poparcia ze strony opozycyjnych sojuszników. Czynić tak miał z poczucia moralnego obowiązku, nawet jeśli na horyzoncie nie widziano żadnych oznak, aby miał jakąkolwiek szansę odnieść sukces. Po prostu nie mógł inaczej. Gdyby ta próba zakończyła się niepowodzeniem, miałby być gotów całkowicie wycofać się z polityki. Ale nie mógł odejść bez podjęcia takiej próby. Zagraniczni dyplomaci zapewne zgodziliby się z nim, że była to dla niego ostatnia spektakularna okazja, by pokazać swój sprzeciw wobec kontynuacji rządów Serża Sarkisjana.

Więści z mediów społecznościowych docierające do Erywania z początku marszu w Giumri 31 marca 2018 r. i potem z trasy marszu nie zapowiadały sukcesu. Wszystkiego kilka-kilkanaście osób i kulawy pies podążający pustymi drogami w chłodne i deszczowe dni. Ów „pies z kulawą nogą”, który w języku

polskim jest figurą retoryczną, trafnie oddającą przygnębiającą początkowo otoczkę marszu, był zresztą postacią realną (pies wabiący się Czalo dołączył do marszu, został potrącony przez samochód, lecz dzielnie trwał przy maszerujących). Nie zapowiadało to niczego spektakularnego, żadnego politycznego skutku.

Demonstracja po przybyciu Nikoła Paszyniana do Erywania 13 kwietnia była dość liczna, ale nie na taką skalę, żeby protest można było uznać za sprawę politycznie rozwojową. Po jej zakończeniu ledwie około 100 demonstrantów zdecydowało się zostać na noc w namiotach rozbitych na placu Francuskim. Władze robiły wrażenie, jakby nie zwracały w ogóle uwagi na działania Paszyniana.

14 kwietnia Paszynian zwrócił się z publicznym apelem do mieszkańców całej Armenii o poparcie jego protestu. Jego wtargnięcie do budynku radia publicznego było odbierane jako znak desperacji. Za wszelką cenę chciał on poruszyć sumienia zwykłych ludzi, którzy w tamtej chwili zdawali się nie rozumieć konsekwencji związanych z kontynuacją rządów Serża Sarkisjana.

Podczas owego weekendu rzeczywiście Ormianie zaczęli się budzić z apatii. 14 kwietnia zobaczyli groteskowo zainscenizowaną konwencję Partii Republikańskiej nominującą Sarkisjana na kandydata na premiera. Przekonali się, że dana przez niego kiedyś obietnica została złamana. Poczuli się oszukani. Kolejny raz. Ale dostrzegli także wtedy strach w oczach decydentów. Konwencja partyjna odbyła się w Cachkadzorze, co przez wielu ludzi zostało zinterpretowane jako przejaw słabości władz. Robiąc dobrą minę do złej gry, władze demonstrowały, że

działania Paszyniana są bez znaczenia, ale z drugiej strony postanowiły ewakuować konwentykiel partyjny z Erywania, aby uniknąć kłopotów.

16 kwietnia dokonał się przełom w sympatiach ludzi. Już tysiące przyłączały się do Nikoła Paszyniana. Ulice wokół Parlamentu zostały zablokowane przez tłum. Policja użyła granatów hukowych i pałek. Kilku demonstrantów doznało obrażeń. Sam Paszynian musiał pojechać do szpitala, gdzie opatrzono mu rany. Ulica Bagramiana (gdzie znajduje się Zgromadzenie Narodowe i gdzie miało się odbyć się głosowanie w sprawie powołania premiera) stała się areną prawdziwej konfrontacji.

Pomimo rosnącego napięcia 17 kwietnia, zgodnie z planem, Serż Sarkisjan został wybrany na premiera (77 deputowanych głosowało za, 17 – przeciw). Owego też dnia Paszynian ogłosił aksamitną rewolucję.

Władze wciąż odmawiały uznania Paszyniana za stronę w sporze. Zaczęły jednak obwiniać go za nielegalne działania i zakłócanie porządku. Przystąpiły do zastraszania społeczeństwa obywatelskiego i opozycji.

LOGIKA REWOLUCJI

Zagraniczni obserwatorzy w Erywaniu odnieśli wrażenie, że władze chciały powtórzyć swoją sprawdzoną taktykę radzenia sobie z niezadowolonym społeczeństwem – wyczekiwać, zmęczyć demonstrantów, wyczerpać ich do punktu utraty nadziei na sukces protestów. Próbowano wprowadzić zasugerować władzom, aby poważnie potraktowały gniew ludzi. Ale bez

większego powodzenia. Władze na ówczesnym etapie nie miały w ogóle ochoty rozmawiać z Paszynianem. Dziwiło wszakże, że całkowicie ignorowały one czynnik rosnącego tłumu, który za nim podążał. Dla postronnego obserwatora efekt kuli śnieżnej protestu zaczął być widoczny już od 16 kwietnia. Ale władze wciąż tkwiły w stanie zaprzeczenia. W nieoficjalnych rozmowach kategorycznie odrzucały pomysł, aby Sarkisjan poszedł na rozpisanie nowych wyborów. Kiedy zaczęły o tym myśleć po kilku dniach, było już za późno.

20 kwietnia dla zagranicznych obserwatorów stało się jasne, że demonstracje przerodzą się w coś politycznie znaczącego i poważnego. Panowała wtedy wyjątkowo zła pogoda. Temperatura spadła o kilka stopni, było mokro i wietrznie. A jednak na placu Republiki zebrało się ponad 20 tysięcy ludzi, i to nawet według bardzo ostrożnych szacunków. Nikol Paszynian zaczął stosować całkiem skuteczną taktykę. Zamiast po prostu zwoływać ludzi na plac, pomaszerował przez Erywań, zachęcając wszędzie potencjalnych zwolenników, by do niego dołączali. Przenosił protest do każdej, nawet najbardziej oddalonej części miasta. W rezultacie 21 kwietnia wiec na Placu Republiki przekroczył już liczbę 50 tysięcy uczestników. Protest miał bardzo prostą i zrozumiałą agendę – dymisję Serża Sarkisjana. W każdej rewolucji im prostsza i bardziej atrakcyjna emocjonalnie jest agenda, tym więcej ludzi może zjednoczyć i przyciągnąć.

Organizatorzy zastosowali dość zdecentralizowany model kierowania protestem. Podczas gdy Nikol Paszynian pozostawał twarzą i przywódcą rewolucji, a jego wezwania i instrukcje były realizowane bez zastrzeżeń, wiele decyzji dotyczących kwestii technicznych delegowano na niższe szczeble. Czasami, zwłaszcza jeśli chodziło o działania w innych miastach, a nawet

dzielnicach Erywania, nie był on świadomy podejmowanych tam decyzji. Ten zdecentralizowany model okazał się silnym atutem rewolucji. Protest mógł przypominać swoistą „sieć sieci”. Niall Ferguson, uzupełniając dziś swój *Rynek i ratusz* (*The Square and the Tower*), mógłby wykorzystać rewolucję armeńską jako doskonały przykład udanej rewolucji „sieciowej”. W strukturach hierarchicznych („wieżach ratuszowych”), kiedy najwyższe kierownictwo zostanie sparaliżowane i wyeliminowane, cała struktura staje się niewydolna. W sieci sparaliżowane połączenia mogą natomiast być szybko zastępowane. Kiedy więc później w Armenii władze zatrzymały trzech przywódców rewolucji, protesty nie straciły na sile i energii. Podobnie, większość blokad 2 maja wyglądała na lokalnie zaimprovizowane jak w strukturze sieciowej. Okazały się one wszakże bardzo skuteczne i uporządkowane, nie objawiając żadnych cech chaosu. Rewolucję armeńską można z powodzeniem opisać jako próbę sił między siecią a hierarchią. Siła sieci zdecydowanie przeważyła.

21 kwietnia Nikol Paszynian był już na ustach całego kraju. Ludziom imponowała jego otwartość, odwaga i determinacja. Podobała im się jego szczerość. Powiada się, że tylko odważny przywódca może obudzić odwagę wśród zwykłych ludzi. I Paszynian to uczynił.

Dopiero wówczas, ponad tydzień po rozpoczęciu się kryzysu, władze zdały sobie sprawę, że nadszedł czas, aby oficjalnie podzielić się z zagranicznymi dyplomatami swoją oceną sytuacji. Zinterpretowano to jako przyznanie przez władze, że demonstracje stały się faktem politycznym, z którym należy się liczyć i traktować go z powagą. Ale narracja władz była mało przekonująca. Postrzegały one protesty jako działania nielegalne

i destabilizujące. Niektórzy ambasadorowie, co prawda niewiele i z państw kojarzonych jako autorytarne, tę ocenę władz podzielili. Zachodni dyplomaci wszakże jednogłośnie zaapelowali o niestosowanie siły i rozpoczęcie negocjacji. Co prawda jednemu z nich niezręcznie się wymysknęło, że protesty były z formalnego punktu widzenia nielegalne. Jednakże dla europejskich dyplomatów interpretacja oparta na orzecznictwie Trybunału w Strasburgu była jasna i wiążąca: nawet nieautoryzowane demonstracje wymagają ochrony ze strony władz, o ile są pokojowe i spełniają inne normy prawa do zgromadzeń. Nawet jeśli demonstracje nie uzyskały oficjalnego pozwolenia, nie oznaczało to, że były nielegalne.

Nic nie przemawia do wyobraźni ludzi sprawujących władzę tak jak tłum. Doświadczenia innych rewolucji pokazują, że w każdym proteście zawsze jest punkt zwrotny. Władze armeńskie nie doceniły, jak daleko zajdzie determinacja tłum. Jediną osobą z kręgów władzy, która sprawiała wrażenie, że realnie ocenia wydarzenia rewolucji, był prezydent Armen Sarkisjan. W przeciwieństwie do niektórych innych członków establishmentu nigdy nie kwestionował on w kontaktach z dyplomatami ani rozmiarów, ani autentyczności protestów. Jego wizyta na placu w celu spotkania się z Nikolem Paszynianem 21 kwietnia była oceniana jako akt odpowiedzialności politycznej i odwagi, chociaż plotka głosiła, że został tam wysłany osobiście przez Serża Sarkisjana, aby przekonać Paszyniana do spotkania z nim następnego dnia. Niewątpliwie prezydent nie przybyłby na plac bez zgody Serża Sarkisjana. Armen Sarkisjan był podobno wtedy w czasie rozmowy gotów zaakceptować wszystkie warunki spotkania z premierem przedstawione przez

Paszyniana, w tym – ku jego zaskoczeniu – nawet to, że spotkanie będzie dotyczyło rezygnacji Serża Sarkisjana.

Niektórzy zachodni politycy bardzo doceniali stabilizującą rolę Armena Sarkisjana podczas całego kryzysu, nawet jeśli nie mieli żadnych wątpliwości, że był on częścią starego systemu.

Inicjatywa spotkania Serża Sarkisjana i Nikola Paszyniana zmaterializowała się bardzo późno. Władze zaczęły się już wtedy obawiać, że kryzys zakłóci obchody Dnia Pamięci o Ludobójstwie 24 kwietnia. Jest to szczególna data w kalendarzu armeńskim – dzień żałoby i pamięci, symbolizujący jedność i solidarność narodu. Władze obawiały się, że setki tysięcy Ormian, którzy tego dnia maszerują do miejsca pamięci o ludobójstwie, obrócą swoje emocje przeciwko władzom.

Zachodni dyplomaci różnili się opiniami na temat spotkania Serża Sarkisjana i Nikola Paszyniana 22 kwietnia. Większość z nich twierdziła, że miał być to w zamyśle władz jedynie zainscenizowany spektakl, który zdyskredytowałby Paszyniana i udowodniłby brak wiarygodności negocjacyjnej. Niektórzy jednak, przynajmniej w momencie ogłoszenia spotkania, pokładali w nim nadzieje na szybkie rozwiązanie kryzysu. Dla każdego trzeźwego obserwatora stało się natychmiast jasne, że Ormianie byli bardzo zniesmaczeni zachowaniem Serża Sarkisjana na tym spotkaniu. Przywołanie przez niego lekcji z 1 marca 2008 r. zinterpretowano jako otwartą groźbę użycia siły. Paszynian bez wątpienia był w tym starciu – w powszechnej opinii – górą. Poparcie dla niego w społeczeństwie wzrosło natychmiast, nawet jeśli nie ujawniło się jeszcze w społecznym zachowaniu.

Obserwatorów prawdziwie zatrwożyło, że chwilę po przerwaniu spotkaniu Nikol Paszynian i jego dwaj najbliżsi partnerzy – Ararat Mirzojan i Sasun Mikaelian – zostali zatrzymani. Obawy, że władze przygotowują siłową rozprawę z protestującymi, dramatycznie wzrosły. Do dyplomatów docierały plotki, że gorączkowo pracowano nad ustawami o stanie wyjątkowym, członkowie Zgromadzenia Narodowego zostali wezwani do powrotu z zagranicznych podróży na pilną sesję parlamentu, a siły policyjne zostały wzmocnione. Prawdopodobnie opcja użycia siły w celu rozproszenia protestów była dość realna. Ale konsekwencje pójścia na siłowe rozwiązanie w tej fazie protestów byłyby więcej niż katastrofalne.

Zaledwie kilka godzin po zatrzymaniu liderów protestu Unia Europejska wyraziła swoje poważne zaniepokojenie i wezwała do uwolnienia bezprawnie zatrzymanych demonstrantów. Władze wołały udawać, że Unii nie chodziło konkretnie o uwolnienie Paszyniana – ale jednak o niego właśnie chodziło. To, że UE, zaledwie kilka godzin po zatrzymaniu liderów, wysłała (w niedzielę po południu!) silny sygnał polityczny, było w praktyce wspólnej europejskiej polityki zagranicznej sytuacją raczej niespotykaną. Wszakże obawy przed użyciem siły do stłumienia protestów były bardzo poważne. Niektórzy lokalni aktywiści z satysfakcją odnotowali, że Unia Europejska wyciągnęła właściwe wnioski z wydarzeń w 2008 r. Wtedy zajęło jej dziewięć dni, aby wystosować publiczne oświadczenie w reakcji na kryzys. Tym razem przez cały czas jego trwania reagowała w porę.

Być może władze łudziły się, że zatrzymując liderów protestów, pozbawiają demonstracje siły napędowej. Jednakże wiec wieczorem 22 kwietnia przyciągnął bezprecedensową liczbę

uczestników, prawdopodobnie ponad 120 tysięcy ludzi. Ponad dwukrotnie więcej niż poprzedniego dnia. Musiało to zrobić na każdym obserwatorze piorunujące wrażenie. Musiał być to także szok dla władz. Mieszkańcy Armenii wyzbyli się strachu. Nie chcieli już dłużej dać się zastraszać.

Musiała to być długa i dręcząca noc dla decydentów. Następnego dnia rozpoczął się od nowych marszów, tym razem po raz pierwszy z udziałem kilkudziesięciu żołnierzy służby czynnej z batalionu pokojowego i weteranów wojennych. W ciągu kilku godzin Nikol Paszynian został zwolniony z aresztu, a Serż Sarkisjan złożył rezygnację. Jakiegokolwiek były motywy jego rezygnacji i czy kierował się czymikolwiek podpowiedziami, jego rezygnacja została zinterpretowana przez zachodnich dyplomatów jako akt patriotyzmu. Odrzucił on opcję użycia siły. Odważył się powiedzieć wprost, że się mylił. Napięcie natychmiast zaczęło się rozładowywać. Kryzys polityczny w Armenii wszedł w fazę rozwiązania.

Natychmiast po dymisji zaczęły krążyć plotki, że rezygnacja była taktycznym wybiegiem. Zamierzoną ofiarą. Podobnie jak w szachach, w których czasami trzeba poświęcić nawet hetmana, aby rozstrzygnąć partię na swoją korzyść. W końcu przecież Serż Sarkisjan był zapalonym szachistą. Plan republikanów rzekomo polegał na zachowaniu władzy przy jednoczesnym usunięciu Sarkisjana jako obiektu społecznego gniewu. Nadal to on pociągałby za sznurki, ale już z cienia. Karen Karapetian objąłby stanowisko premiera, a Paszynian otrzymałby stanowisko jego pierwszego zastępcy. Jako dowód na realność takiego planu kolportowano plotkę, że doszło do uzgodnień, iż Karapetian zostanie zaproszony na scenę na placu Republiki, aby stanąć tam obok Paszyniana. To, czy w tych plotkach było jakiegokolwiek

ziarno prawdy, stało się bez znaczenia wieczorem 23 kwietnia. Tłum 200 tysięcy wiwatujących uczestników nie pozwoliłby, aby dzielić się zwycięstwem z kimkolwiek z establishmentu. Paszynian rozumiał to bardzo dobrze. Zdecydowanie odrzucił wtedy wszelką możliwość powołania premiera rekrutującego się z Partii Republikańskiej. Wiedział, że rewolucja nie polegała już na usunięciu jednej osoby ze szczytu władzy. Jej celem stało się obalenie całego starego układu.

Obóz rządzący nadal pokładał wielkie nadzieje w Karenie Karapetianie. Uważano go za opcję gwarantującą ciągłość władzy przy jednoczesnym rozładowaniu gniewu publicznego. Jednakże obóz rządzący zaczął rozgrywać ten wariant przynajmniej o dwa tygodnie za późno.

Tylko nieliczni ludzie w kręgu władz rozumieli 24 kwietnia, że obstawanie przy Karapetianie jest opcją nie do przeprowadzenia. Zastanawiali się oni nad możliwością wysunięcia na stanowisko premiera trzeciej osoby, ani Karapetiana, ani Paszyniana. Chodziłoby o tak zwanego kandydata neutralnego. Również niektórym zagranicznym obserwatorom idea neutralnej osobistości wydawała się atrakcyjna.

Ten kierunek myślenia był wzmacniany przez aurę enigmatyczności otaczającą osobowość Paszyniana. Działacze Partii Republikańskiej nie kryli się z ich bardzo negatywnymi ocenami cech przywódcy rewolucji. Rozpowszechniano wiele fałszywych wiadomości dotyczących jego biografii i charakteru. Wielu obserwatorów, w tym zachodnich dyplomatów, zbyt słabo znało Paszyniana, aby móc zweryfikować wiarygodność tych informacji. I niektórzy z nich byli bardzo podatni na plotkarskie doniesienia.

Dlatego takiego znaczenia nabrało, aby Nikol Paszynian nawiązał kontakt ze społecznością dyplomatyczną i przekazał jej bezpośrednio swoje oceny dotyczące rewolucji, a także rozwiązał lęki i zdementował insynuacje rozpowszechniane przez jego przeciwników. Uczynił to, odbywając kolejno spotkania z ambasadorami Unii Europejskiej, Rosji i Stanów Zjednoczonych począwszy od 25 kwietnia. Spotkania przygotowywały polityczny grunt dla uznania zdobyczy rewolucji przez partnerów.

Dawni sojusznicy polityczni opuszczali Partię Republikańską. Republikanie zostali na placu boju sami. Uporczywie trzymali się idei Karena Karapetiana jako premiera. Byli gotowi nawet rozpisnąć przedterminowe wybory z Karapetianem jako pełniącym obowiązki premiera. Zabiegali o poparcie dla niego za granicą. Wysłali nawet dwóch emisariuszy do Moskwy. Prezydent Putin rozmawiał telefonicznie z Karapetianem, co zostało zinterpretowane w Erywaniu jako wyraźny sygnał polityczny. Ale znów było na to za późno. Na ówczesnym etapie rewolucji niewiele można było osiągnąć, posiłkując się zagranicą. Nastroje na placu Republiki 26 kwietnia miały jednoznaczną wymowę – republikanie mieli oddać całą władzę. Dla Paszyniana nie było już żadnej innej opcji niż samemu zostać premierem. Byłby uważany za nieodpowiedzialnego, gdyby zakomunikował tłumowi, że wprawdzie to on dokonał rewolucji, ale teraz ktoś inny weźmie na siebie odpowiedzialność za prowadzenie kraju. Opcja neutralnego kandydata została ostatecznie pogrzebana.

Stało się wtedy jasne, że jedyną możliwością zakończenia kryzysu politycznego w Armenii jest mianowanie Nikoła Paszyniana na funkcję premiera. Aby tak się stało, ta elementarna prawda musiała dotrzeć do świadomości Partii Republikańskiej, która

miała większość w Zgromadzeniu Narodowym i w której rękach znajdował się klucz do rozwiązania.

Wybory nowego premiera zaplanowano na 1 maja. Partia Republikańska nie potrafiła zrozumieć, że przedłużanie kryzysu poprzez odmowę poparcia kandydatury Paszyniana działa wbrew jej interesom. Niektórzy republikańscy parlamentarzyści szczerze przyznawali, że na Paszyniana nie zagłosują nigdy. I mogli mieć słuszne ku temu powody. Inni sprawiali wrażenie, że nadal wierzą, że proces rewolucyjnych zmian można jeszcze odwrócić. Jeszcze inni żywili złudzenia, że opcję Karapetiana (z pomocą obcej presji) można jeszcze galwanizować. Być może byli i tacy, którzy sądzili, że z Paszynianem trzeba najpierw wynegocjować przyzwoitą umowę dotyczącą przekazania władzy. Pogłoski o możliwym niejawnym porozumieniu starej władzy z Paszynianem pojawiły się już wtedy.

Cokolwiek było powodem obstrukcji ze strony republikańców, doprowadziła ona Partię Republikańską do popełnienia zbiorowego seppuku na oczach całego narodu w dniu 1 maja. Dzień był wyjątkowo piękny, kawiarnie, restauracje, ogrody pełne były ludzi oglądających na żywo debatę parlamentarną na ekranach telewizyjnych. Wystarczyło przespacerować się po centrum Erywania, by przekonać się, z jaką dezaprobatą i złością Ormianie reagowali na antypaszynianowskie przemówienia republikańców. Porażka kandydatury Paszyniana (otrzymał 45 głosów za, podczas gdy przeciw głosowało 55 deputowanych, w tym wszyscy członkowie Partii Republikańskiej z wyjątkiem jednego), wywołała prawdziwą furję skierowaną przeciwko Partii Republikańskiej.

Nazajutrz stanęła cała Armenia. Erywań został całkowicie zablokowany. Późnym popołudniem Partia Republikańska zdała sobie sprawę, że rzeczywistość nie ma innej możliwości, jak tylko pozwolić na wybór Nikoła Paszyniana na premiera. Przyznać należałoby uczciwie, że niektóre kręgi, w tym i w niektórych zachodnich stolicach, wciąż nie chciały uznać zwycięstwa rewolucji za coś oczywistego. Uważano tam, że władze, kontrolujące cały czas wszystkie instrumenty aparatu przymusu i administrację, mogą proces zmian odwrócić. Potwierdzało to prawdę, że niekiedy nawet dysponowanie pełnią informacji nie daje rękojmi czynienia właściwych prognoz na odległość. Tylko przebywanie w centrum wydarzeń, obserwowanie ich z bliska pozwala zrozumieć i przewidzieć logikę wydarzeń. Bo tworzą je także emocje, których nie da się poczuć na odległość.

Krótko mówiąc, dla właściwego rozeznania sytuacji niezbędni są dobrzy dyplomaci rozmieszczeni na miejscu. I zaufać należy ich instynktom.

Głosowanie przeprowadzone 8 maja stało się formalnością (Paszynian uzyskał 59 głosów, a 42 deputowanych oddało głos przeciwny). Rewolucja triumfowała.

REAKCJE

Rewolucja wywołała wiele sympatii dla Armenii na całym świecie. To dobra strona funkcjonowania wspólnej globalnej przestrzeni informacyjnej. Obrazy z placu Republiki dotarły nawet do miejsc, w których zwykli ludzie nigdy w ogóle nie słyszeli o Armenii. Małym krajom tak pozytywna reklama

nie zdarza się często. I jest ona korzystna dla ich wizerunku. A żyjemy przecież w czasach wzrostu znaczenia miękkiej potęgi w polityce światowej.

Były oczywiście państwa, w tym w bliskim sąsiedztwie, w których wydarzenia w Armenii wywołały niepokój. Niektórzy przywódcy obawiali się tam, że wydarzenia w Armenii mogą wywołać niepożądany efekt uboczny i zachęcić opozycję do wywołania niepokoju. Nawet jeśli przywódcy ci nie mieli powodów do obdarzania współczuciem zdetronizowanego Serża Sarkisjana.

Niektóre kraje na przestrzeni poradzieckiej, w tym o zasadniczym znaczeniu dla Armenii, ostrożnie obserwowały rozwój wydarzeń. W końcu Nikol Paszynian był jednym z niewielu armeńskich parlamentarzystów, którzy głosowali przeciwko członkostwu Armenii w Eurazjatyckiej Unii Gospodarczej. Niektóre zagraniczne media zaatakowały Paszyniana za obsadzenie jego rządowego zespołu pracownikami sponsorowanych przez Zachód organizacji pozarządowych i zachodnich agencji pomocowych. Niektórzy internetowi użytkownicy za granicą sporządzili nawet listę „rusofobów” w składzie administracji Paszyniana. Jedną z organizacji pozarządowych – Open Society Foundations – stała się obiektem szczególnie ostrych ataków, w tym inspirowanych przez pewne grupy w samej Armenii.

Nikol Paszynian wyraźnie zadeklarował, że rewolucja nie ma kontekstu geopolitycznego. Przy każdej okazji podkreślał, że w polityce zagranicznej Armenii nie będzie żadnych zmian. W odczuciu zachodnich obserwatorów posunął się on bardzo daleko, również w konkretnych decyzjach, aby uspokoić wszelkie obawy, że Armenia mogłaby porzucić dotychczasowe

azymuty polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. Co prawda dziś niektórzy byli zachodni dyplomaci w swoich publikacjach snują teorie spiskowe, zgodnie z którymi musiało dojść do jakiegoś porozumienia geopolitycznego między niektórymi wielkimi mocarstwami dotyczącego orientacji nowego rządu, a Nikol Paszynian miałby dążyć do pogłębienia poziomu istniejących powiązań integracyjnych Armenii. Nawet jeśli podobne teorie nie grzeszą elementarną logiką, to nie wzięły się znikąd.

Zachód instynktownie cieszył się z triumfu rewolucji armeńskiej. W końcu rewolucja dotyczyła wartości, które Zachód próbował promować na obszarze całej Europy. Politycy na Zachodzie zdawali się rozumieć, że z powodów geopolitycznych nie mogli zbyt ostentacyjnie wyrażać swego zadowolenia. Obawiali się, że ich entuzjazm wobec Paszyniana może tylko utrudnić mu życie. Niektórzy z nich nawet odetchnęli z ulgą, gdy usłyszeli o braku celów geopolitycznych w rewolucji. Ukraina i Gruzja sprawiły, że sytuacja geopolityczna na wschodzie Europy i tak stała się ciężka do uniesienia. Nie chcieli otwierać kolejnego punktu geopolitycznego sporu z Rosją.

Jednak dość szybko niektórzy zachodni politycy stracili jasność osądu sytuacji porewolucyjnej w Armenii.

Powodów było kilka.

Po pierwsze, przywódcy porewolucyjnej Armenii przyjęli za pewnik, że nie muszą tłumaczyć na Zachodzie, co wydarzyło się w Armenii i dokąd porewolucyjne reformy miałyby prowadzić. Prawdopodobnie uznali, że wszystko, co się stało, było tak oczywiste, że nie wymagało żadnego wyjaśnienia. To pozostawiło scenę otwartą dla niektórych polityków Partii Republikańskiej, którzy zaczęli przejawiać dużą aktywność w swoich kontaktach

z politykami zachodnimi, aby przekonać ich, że w Armenii nie doszło do żadnej rewolucji, nastąpiła jedynie zmiana władzy, a nowa ekipa jest mniej prozachodnia, mniej kompetentna i mniej odpowiedzialna niż wszystkie poprzednie.

Armeński korpus dyplomatyczny na Zachodzie głębszych zmian kadrowych po rewolucji nie doświadczył, a czasem wręcz nie czuł żadnej presji, aby wykazywać aktywność w wyjaśnianiu wydarzeń. Co gorsza, po rewolucji nawet zachodnim dyplomatom w Erywaniu trudniej było uzyskać od nowych władz wykładnię, jak interpretować wydarzenia i decyzje w porewolucyjnej Armenii. Od czasu uzyskania niepodległości Armenia pielęgnowała tradycję gościnności i otwartości wobec zagranicznych dyptomatów. Miejscowi urzędnicy zawsze byli bardzo dostępni i otwarci na kontakty. Dla każdego dyplomaty pracującego w Armenii pobyt tam był – ze względu na dostępność urzędników i polityków – czystą profesjonalną przyjemnością. Wszystkie drzwi były zawsze otwarte. Kwestie protokołu miały znaczenie drugorzędne. Po rewolucji niektórzy zachodni dyplomaci nie kryli zaskoczenia, że władze tak opieszale podchodziły do sprawy objaśniania partnerom sytuacji w kraju. Niekiedy podejrzewali sabotujące zachowanie niektórych biurokratycznych funkcjonariuszy średniego szczebla. Czasami tłumaczyli tę bierność tym, że nowym liderom brakowało świadomości, że przekazywanie ich przesłania światu zewnętrznemu było niezmiernie ważne, zwłaszcza że mieli oni wysokie oczekiwania dotyczące pomocy i wsparcia z Zachodu. Postrewolucyjnemu rządowi brakowało niewątpliwie jasnej strategii komunikacyjnej wobec Zachodu.

Po drugie, zaraz po rewolucji nowi decydenci zaczęli bardzo niefortunnie wiązać Zachód z błędami poprzedniego reżimu.

Najbardziej skrajnym tego przejawem było sugerowanie, że Zachód dzieli odpowiedzialność za rozkwit korupcji w Armenii. Podejrzliwie zaczęto spoglądać na dotychczasowe inwestycje firm zachodnich. Nie mogło to nie ostudzić zainteresowania potencjalnych inwestorów zachodnich po rewolucji. Niektórzy zachodni politycy i dyplomaci obawiali się, że pełne podejrzenie podejście do inwestycji zagranicznych dokonanych przed rewolucją stworzy precedens pozwalający każdemu nowemu rządowi Armenii wycofywać z wcześniejszych zobowiązań.

Po trzecie, Zachód miał w tym czasie wiele innych, znacznie większych zmartwień. Kwestia Armenii zawsze była rozpatrywana z szerszej perspektywy politycznej. Było to dość wymowne, że jeden z europejskich polityków, który w 2019 r. odwiedził Armenię, nie szczędził słów wsparcia dla swoich lokalnych rozmówców. Kiedy jednak opublikował swoje polityczne wspomnienia z tego okresu, nie raczył wspomnieć ani o swojej opinii na temat rewolucji armeńskiej, ani o swoich spotkaniach z Nikolem Paszynianem. Zapisy z jego pamiętnika od marca do maja 2018 r. nie zawierają żadnego odniesienia do wydarzeń w Armenii. Nazwisko Paszyniana w ogóle się nie pojawia, mimo że doszło do kilku spotkań obu polityków. Wniosek z tego prosty – kraj taki jak Armenia nie może z góry zakładać, że może zawsze liczyć na zrozumienie, wsparcie i sympatię swoich partnerów. Wymagany jest wysiłek.

Po czwarte, w polityce niektórych państw zachodnich układ symetrii dotyczący ich stosunku do Armenii i Azerbejdżanu uzyskał status aksjomatu. Aby wykazać neutralność w konflikcie w Górskim Karabachu, kierowały się one przekonaniem, że muszą zachowywać równy dystans wobec Armenii i Azerbejdżanu, w szczególności na forach międzynarodowych.

Rewolucja armeńska stała się czynnikiem, który skomplikował prostą kontynuację tej polityki. Niektórzy z tych polityków nadal wierzyli jednak, że absolutnym priorytetem było rozwiązanie konfliktu karabaskiego. Inne kwestie, w tym ocena sytuacji wewnętrznej Armenii czy Azerbejdżanu, powinny według nich pozostawać na drugim planie. Ciężko im czasem było zdecydować, czy sukces rewolucji armeńskiej sprzyja rozwiązaniu konfliktu, czy je utrudnia. Ułatwiało to niewątpliwie zadanie nieprzyjaciołom rewolucji armeńskiej.

Na Zachodzie zaczęło krążyć wiele trywialnych stereotypów dotyczących sytuacji porewolucyjnej. Jeden z nich polegał na określaniu armeńskiego rządu jako młodego i niedoświadczonego. Prawda zaś była taka, że niektórzy członkowie gabinetu dysponowali całkiem pokaźnym doświadczeniem, by wspomnieć tylko ministra spraw zagranicznych, ministra obrony czy ministra sytuacji nadzwyczajnych. Doskonale znali oni problematykę, którą się zajmowali, wiedzieli od podszewki, jak działa machina państwowa. W tych ministerstwach, a także w ministerstwie sprawiedliwości i organach ścigania zmiany personalne były jedynie symboliczne, być może nawet zbyt symboliczne, aby mogły zostać pozytywnie ocenione przez społeczeństwo obywatelskie. Podstawowy rdzeń korpusu administracyjnego pozostawał ten sam. Oczywiście pojawiły się nowe osoby na stanowiskach ministrów, ich zastępców i specjalnych doradców. Wniosły one wiele nowej energii i entuzjazmu. Partnerzy zagraniczni mogli dostrzec w strukturach zajmujących się pomocą rozwojową niewiarygodny przyływ pozytywnej energii. Ci młodzi ludzie władali sprawnie językami obcymi i mieli dość prozachodnie nastawienie. Naprawdę szkoda było więc widzieć, jak niektórzy z nich opuszczali maszynę rządową już

po kilku miesiącach (niezależnie od tego, co nimi powodowało w tych decyzjach). W optyce działaczy społeczeństwa obywatelskiego rząd długo po rewolucji pozostawał nadal mieszanką Starej i Nowej Armenii. Według społeczeństwa obywatelskiego duch Nowej Armenii najbardziej był widoczny w działaniach ministerstw pracy, zdrowia, środowiska i (od połowy 2019 r.) sprawiedliwości.

Innym stereotypem krążącym na Zachodzie było stwierdzenie, że rewolucja spowodowała coraz silniejszą koncentrację władzy. Istotnie, w ustroju politycznym Armenii władza jest skoncentrowana w jednej instytucji. Przed rewolucją, bez względu na to, jakie były nominalne role innych funkcjonariuszy, w tym w odrębnych od egzekutywy gałęziach, takich jak sądownictwo, wszystkie decyzje były podejmowane w urzędzie prezydenta – nie tylko te ważne, ale i bardzo błahe. Dotyczyły one m.in. przebiegu postępowań sądowych, działań prokuratorских, przekazów medialnych lub preferencji dotyczących zamówień publicznych.

Poprawki do konstytucji zatwierdzone w 2015 r. jeszcze bardziej skoncentrowały władzę. A rewolucja odziedziczyła ów system skoncentrowanej władzy. Pojawiły się więc naturalnie głosy, że porewolucyjna Armenia musi opracować nowy system kontroli i równowagi władz. Do dziś tak się nie stało. Przeciwnicy rewolucji bardzo przemyślnie przedstawiali niektóre ważne decyzje jako podejmowane przez władzę wykonawczą próby podporządkowania sobie innych gałęzi, w szczególności sądownictwa. Brak zmian w strukturze władzy uzasadniał niekiedy tym, że przejście przez transformację wymaga silnego przywództwa. Ale w efekcie na Zachodzie utrzymywało się wrażenie, że Armenia staje się w wymiarze politycznym coraz

bardziej spektaklem jednego aktora. Nieuchronnie pachnie to woluntaryzmem, a woluntaryzm na Zachodzie nie sprzedaje się dobrze. Niektórzy rewolucyjni przywódcy z innych państw postsowieckich dali zły przykład tendencji woluntarystycznych w nie tak przecież odległej przeszłości.

Przeciwnicy Nikoła Paszyniana wykorzystywali jego publiczne wypowiedzi dotyczące sprawy Roberta Koczariana i innych osób zaangażowanych w wydarzenia z 1 marca 2008 r., które czasem brzmiały dość emocjonalnie (tak jak jego przemówienie w sierpniu 2018 r. na wiecu poświęconym 100 dniom jego urzędowania), aby oskarżać go o skoncentrowanie całej energii na politycznym odwecie. Twierdzili, że rewolucja była napędzana prywatnym dążeniem do wysłania Koczariana za kratki i usunięcia skorumpowanych postaci poprzedniej władzy. Krążyły plotki, że sprawa Koczariana psuje chemię w relacjach między Paszynianem a niektórymi innymi zagranicznymi przywódcami, szczególnie jednym. W społeczeństwach demokratycznych nawet wiodący politycy mają prawo wyrażać swoje osobiste opinie o wyrokach sądowych. Niemniej jednak, im mniej mówią, kiedy korzystają ze swoich praw, tym lepiej dla demokracji. A w głośnych przypadkach powinni ugryźć się w język, zanim powiedzą cokolwiek.

Polityka Europy dotycząca planów reform nowego rządu polegała na kontynuacji podejścia opartego na oczekiwaniu inicjatyw ze strony Armenii. Europa liczyła, że Nowa Armenia zredefiniuje szybko swoje potrzeby i oczekiwania. Jako wyraz uznania dla zmian Unia Europejska zwiększyła poziom swojej pomocy prawie w dwójnasób w ciągu kilku ostatnich lat. Zadeklarowała generalne poparcie polityczne dla kierunku reform podjętych przez Nikoła Paszyniana. Jak wielokrotnie

stwierdzali to wysocy urzędnicy Unii Europejskiej, w pełni wierzone w dobre intencje nowego rządu i ufano jego liderowi.

Oczywiste jest, że Armenia może i powinna mieć wysokie oczekiwania co do postawy Zachodu. Niestety pomimo życzliwego stanowiska poprzednich przywódców Komisji Europejskiej nie stało się jeszcze możliwe otwarcie dialogu na temat liberalizacji reżimu wizowego. Niektóre z przyczyn nie mają nic wspólnego z Armenią. Trudno jednak nie zgodzić się z ówczesnym przewodniczącym Komisji Jeanem-Claude'em Junckerem, który zasugerował, że liberalizacja wizowa jest sprawdzianem wiarygodności Unii Europejskiej w zakresie jej polityki otwartości i dobrego sąsiedztwa z przyjaznymi partnerami, takimi jak Armenia. Europa powinna również bardziej zaznaczać swoją obecność w tym kraju jako inwestor i partner handlowy. Wiele zależy jednak od tego, na ile sama Armenia potrafi aktywnie przyciągać europejski kapitał i promować handel.

Ale ogólny obraz jest jasny – po rewolucji stosunki z Unią Europejską były najbardziej bezproblemowymi spośród wszystkich z zagranicznymi partnerami Armenii. Unia wykazała pełne zrozumienie dla priorytetów Armenii, jej innych zobowiązań i powiązań. Od lat jest jej największym darczyńcą, a okazjonalnie nawet największym inwestorem i partnerem handlowym. Przed rewolucją była wszakże dość nisko odnotowywana przez rząd wśród partnerów zagranicznych. Pierwsze miejsce zawsze zajmowała Rosja, za nią szły Stany Zjednoczone. Unia Europejska, z niewiadomych przyczyn, była zawsze w rządowych exposé wymieniana na liście partnerów oddzielnie od swoich państw członkowskich, a w rządowym programie Karapetiana uplasowano ją na siedemnastej pozycji wśród

priorytetów polityki zagranicznej. Zinterpretowano to jako przejaw ignorancji niektórych urzędników, choć być może był w tym ślad rozumowania zaimportowanego z innych stolic. Wyglądało to tak absurdalnie, że nie mogło wywołać żadnych poważnych, nawet negatywnych, odczuć w Unii Europejskiej. Wystąpienia programowe Nikoła Paszyniana w dniach 1 maja i 8 maja 2018 r. przyniosły widoczną zmianę – Unię wymieniano już prominentnie, ale zajęło trochę czasu, zanim urzędnicy niższego szczebla w niektórych ministerstwach, w szczególności w jednym, dostosowali się do nowego sposobu myślenia.

Rewolucja dokonana się zaledwie kilka dni po ratyfikacji przez Armenię kompleksowej i wzmocnionej umowy o partnerstwie z Unią Europejską (CEPA). Zgromadzenie Narodowe zrobiło to jedomyślnie, co było czymś zupełnie bezprecedensowym. Negocjacje nad umową przebiegały dość dynamicznie. Negocjatorzy UE wykazali stosunkowo wysoki stopień elastyczności. W Brukseli istniały obawy, że może się powtórzyć sytuacja z 2013 r. i Armenia wycofa się ponownie z porozumienia. Doświadczenia 2013 r. były bardzo rozczarowujące, również dlatego, że Armenia była liderem pod względem tempa negocjacji wśród partnerów UE. Powstało wtedy silne wrażenie, że Ormianie bardzo chcieli porozumienia i podpiszą je bez zbędnych ceregieli. Nagłe wycofanie się i decyzja o przystąpieniu do Eurazjatyckiej Unii Gospodarczej wywołały w Brukseli prawdziwy szok. Później, co prawda, niektóre osoby zbliżone do urzędu prezydenta próbowały tłumaczyć, że Armenia wiedziała rok wcześniej, że nie może przystąpić do umowy stowarzyszeniowej. O dziwo ich negocjatorzy nie mieli o tym pojęcia, cały czas rozmawiając o tekście umowy. Dyplomaci UE nie zdawali też sobie wówczas sprawy, że w kręgach rządzących istnieją silne

podziały dotyczące tego, czy w ogóle dążyć do porozumienia z Unią. Paradoksalnie, niektórzy armeńscy urzędnicy, którym w Brukseli przypisywano orientację proeuropejską, w zaciszu gabinetów optowali raczej za przystąpieniem do Eurazjatyckiej Unii Gospodarczej.

Widmo Armenii odrzucającej porozumienie po raz drugi powracało za każdym razem, gdy na agendzie negocjacji pojawiała się trudna kwestia. Ten neurotyczny odruch nie miał tym razem uzasadnienia. Dla każdego dyplomaty stacjonującego w Erywaniu było jasne, że Serż Sarkisjan uczciwie dążył do umowy, dawał swojemu zespołowi negocjacyjnemu instrukcje konstruktywnego podejścia i był gotów osobiście przekonywać najbliższych zagranicznych partnerów Armenii, aby nie wysuwali zastrzeżeń.

Rokowania przebiegały na ogół sprawnie, choć ich tempo było nierówne. Czasami, jak choćby w maju 2016 r., nagłe spowolnienie (po bardzo dynamicznym początku) było trudne do zrozumienia dla europejskich negocjatorów. Ale do negocjatorów armeńskich niezbędne impulsy polityczne docierały zawsze w porę.

W finalnej rozgrywce należało znaleźć kompromis w dwóch najważniejszych kwestiach – dla UE była to kwestia koniaku/brandy (Unia Europejska zastrzega prawo używania nazwy „koniak” tylko dla produktów pochodzących z okolic miejscowości Cognac we Francji i domaga się od swoich partnerów handlowych stosowania tej zasady); dla Armenii – kwestia pierwszeństwa jej „innych zobowiązań i powinności” nad umową z UE. Kompromis znaleziono i umowa została zawarta.

Rokowania zakończono 27 lutego 2017 r. podczas wizyty prezydenta Sarkisjana w Brukseli, a umowa została podpisana 24 listopada 2017 r. przy okazji szczytu Partnerstwa Wschodniego w Brukseli.

Umowa CEPA stała się obecnie przydatnym punktem odniesienia określającym stosunki między Unią Europejską a Armenią. Jest ona politycznie „łżejsza” niż umowa stowarzyszeniowa i nie zawiera postanowień o wolnym handlu. Ale z technicznego punktu widzenia różne jej parametry i normy, wymienione zwłaszcza w załącznikach, są czasami bardziej wymagające niż zawarte w umowach stowarzyszeniowych z Gruzją czy Ukrainą. Ich wdrożenie pomogłoby radykalnie zmodernizować Armenię. Ale koszt implementacji, według obliczeń armeńskich, jest niebagatelny – ponad 1,3 miliarda euro. Jednakże koszty nie są najtrudniejszą przeszkodą. Wdrożenie umowy wymaga mobilizacji i wysokich kompetencji ze strony biurokratycznego aparatu w kilku ministerstwach i instytucjach publicznych. Stronie armeńskiej dość dużo czasu zajęło opracowanie mapy drogowej dla wdrożenia umowy. Ale ważniejsze jest to, aby rząd Armenii odpowiednio monitorował realizację tej mapy. Jak mawia się w Brukseli – plany działania nie mogą być surogatem samego działania.

Unia Europejska zadeklarowała gotowość pomocy doradczej i szkoleniowej. Niestety przełożenie tej deklaracji na ustalenia operacyjne strony armeńskiej zajęło znów sporo czasu. Korzystanie z rad Zachodu stało się paradoksalnie bardziej wrażliwe politycznie dla Armenii niż w czasach Serża Sarkisjana. Nie ulega wątpliwości, że dla wielu członków Unii Europejskiej wdrażanie CEPA będzie miarą wiarygodności reformatorskich deklaracji rządu Armenii w nadchodzących latach.

Życie według europejskich norm i standardów może czasem być bardzo trudne. Europejski model modernizacji jest prawdopodobnie jedynym wykonalnym modelem dla Armenii. Można mieć tylko nadzieję, że da się to pogodzić z „zobowiązaniami i powinnościami” wobec innych partnerów z jej strony.

Po rewolucji niektórzy politycy i eksperci w Armenii zadawali sobie pytanie, czy nie lepiej byłoby sfinalizować nowe porozumienie z Unią dopiero teraz, po odejściu starej ekipy. O dziwo, dominujący pogląd głosił, że CEPA stanowiła maksimum tego, co mogło być wynegocjowane z Unią Europejską w obecnych uwarunkowaniach geopolitycznych. Ale, jak to pewien zachodni dyplomata doradził armeńskim przyjacielom: „traktujcie CEPA jako podstawę, a nie jako pułap”.

Armeńska opinia publiczna docenia teraz bardziej niż kiedykolwiek wartość bliskich relacji z Unią Europejską. Ten kapitał zaufania nie powinien zostać zmarnowany. Wymagałoby to jednak bardziej pomysłowej polityki ze strony Brukseli. A także ze strony niektórych stolic krajowych.

SKUTKI

Wartość każdej rewolucji można ocenić jedynie na podstawie jej wpływu na życie ludzi. Ormianie poszli na plac Republiki z dużymi oczekiwaniami, nawet jeśli pierwotny plan był bardzo prosty – odsunąć od władzy Serża Sarkisjana. Program ten został rozbudowany w czasie rewolucyjnych dni o postulat odsunięcia Partii Republikańskiej, a następnie – o postulat całkowitego demontażu starego skorumpowanego systemu. Ale

naród Armenii miał oczywiście jeszcze większe oczekiwania. Chciał wolnego i dobrze prosperującego kraju, żyjącego według zachodnich standardów, tworzącego nowe miejsca pracy, zwiększającego poziom wynagrodzeń, oferującego możliwości satysfakcjonujących karier zawodowych. Każdej rewolucji przychodziłoby z trudem spełnianie tak wysokich oczekiwań i to w ekspresowym tempie.

Nowa ekipa, która przejęła władzę, była dość nieliczna. Nie stały za nią rzesze ekspertów, którym można by zaufać i natychmiast skierować ich do administrowania krajem. Nie było też w szufladach gotowych planów reform. Przywódcy rewolucji wkrótce zdali sobie sprawę, że aby chronić rewolucję od zewnątrz (i aby zapobiec rozgrywaniu karty populizmu przez odsuniętych od władzy wewnątrz kraju), muszą ściśle respektować ograniczenia konstytucyjne, nawet jeśli mieszkańcy Armenii nie będą do tego przywiązywać pryncypialnej wagi.

Nikol Paszynian w porewolucyjnych reformach zademonstrował niemal religijne oddanie niektórym podstawowym zasadom.

Po pierwsze, dał wyraz totalnej nietolerancji wobec korupcji. Kilka prominentnych osób, które przywłaszczyły państwowe pieniądze, posłano do więzienia. Nawet ludzie, którzy objęli stanowiska już po rewolucji i zostali złapani na defraudacji, zostali pociągnięci do odpowiedzialności. Niektóre byłe ekspozowane osobistości zwróciły około 100 milionów dolarów do państwowego skarbcza. Ta antykorupcyjna ofensywa stanowiła kopernikański wręcz przewrót w Armenii. Ale naiwnością było myśleć, że wystarczyło podjąć te działania, aby gospodarka armeńska zadziałała właściwie i zniknęły systemowe zagrożenia

korupcją. Armenia potrzebuje wprowadzenia kompleksowych ustaw i utworzenia instytucji do walki z tym zjawiskiem.

Po drugie, Nikol Paszynian wykazał się szczerym zaangażowaniem w budowanie państwa prawa. Położył kres bezkarności ludzi władzy w Armenii, zarzucił dotychczasowe praktyki wywierania wpływu na sądownictwo i sterowania procesami sądowymi. Był to kolejny przewrót kopernikański. Przed rewolucją niektórzy ludzie związani z władzą zachowywali się tak, jakby stali ponad jakimkolwiek prawem. Byli oni (i ich rodziny) w praktyce zwolnieni z odpowiedzialności nawet za drobne przestępstwa i wykroczenia. Paszynian położył kres tej bezkarności. Jednakże nowe władze przez długi czas odkładały wszelkie próby reformy sądownictwa. Armeńska opinia publiczna usłyszała *ex post*, że władze czekały, aż armeńskie sądownictwo dokona samooczyszczenia. Dyskusja o reformie rozpoczęła się dopiero w 2019 r. w szczególnym kontekście sprawy Koczariana, co samo w sobie było niezbyt fortunne. W powszechnej opinii reforma sądownictwa powinna była rozpocząć się natychmiast po rewolucji. Okazało się, że jedną z kontrowersyjnych kwestii stała się tzw. sprawiedliwość okresu przejściowego. Działacze społeczeństwa obywatelskiego byli zdania, że brak praktycznych kroków w tym względzie był spowodowany m.in. czynnikiem zewnętrznym. Mechanizmy sprawiedliwości okresu przejściowego ujawniłyby bowiem pewne powiązania z zagranicą, które rzuciłyby dość nieprzychylnie światło na niektórych partnerów zewnętrznych. Brak gotowości do wdrażania sprawiedliwości przejściowej spowodował, że wiele osób, które ucierpiały w wyniku represji poprzedniego reżimu, trafiły do więzienia, straciły pracę, zostały pozbawione

majątku z powodów politycznych, zaczęło czuć się rewolucją zawiedzionych.

Po trzecie, Nikol Paszynian potwierdził w praktyce swoje przywiązanie do zasady wolnych wyborów. Te przeprowadzone w Armenii w grudniu 2018 r. były najbardziej wiarygodnymi od lat. A w niektórych wyborach lokalnych kandydaci osobiście popierani przez Paszyniana musieli pogodzić się z porażką. Przywódcy partii rządzącej deklarują, że zaakceptują nawet swoją przegraną w następnych wyborach parlamentarnych. W przeciwieństwie do poprzedników nie mają zamiaru trzymać się władzy za wszelką cenę i nie twierdzą, że władzy raz zdobytej nie oddadzą nigdy. Godne to pochwały, ale niektórzy lokalni analitycy zauważają, że ekipie rządzącej nie powinno być obojętne, kto przejmie po niej władzę i co z nią zrobi.

Niektórzy spodziewali się, że obóz rewolucyjny zacznie wkrótce po rewolucji budowę nowoczesnego systemu demokracji opartego na zasadach kontroli i równowagi, podziału władz, pomocniczości, neutralności politycznej organów ścigania, w tym policji, służb specjalnych, prokuratury i organów śledczych. Żywiono nadzieję, że pierwsze elementy tych reform zostaną wprowadzone z odpowiednim wyprzedzeniem przed następnymi wyborami parlamentarnymi. Nie kryją dziś, że są opieszałością władzy coraz bardziej rozczarowani.

Niektórzy eksperci sugerują, że obóz rewolucyjny nie docenił oporu starych struktur (i ludzi z nimi związanych). Bez wątpienia proces zawłaszczenia państwa praktykowany wcześniej w Armenii zaowocował gęsto rozbudowanymi układami ludzi i ich interesów, czasami wręcz o kryminalnym charakterze. Radykalna antykorupcyjna krucjata ogłoszona przez Nikoła Paszyniana była postrzegana

przez owe sieci jako zagrożenie egzystencjalne. Doświadczenia innych krajów pokazują, że na początku układy te próbują przecze-kać zmiany, wytłumić ich skutki. Kiedy zmiana okazuje się realna i trwała, starają się jej stawiać opór. A jeśli mają dość pieniędzy, wpływy w organach ścigania i sądownictwie, dostęp do mediów, mogą być dość skuteczne w przeciwdziałaniu zmianom. Dopóki układy te nie zostaną rozbite, dopóty realne będzie ryzyko, że stare porządki się odrodzą.

Fakt, że Nikol Paszynian zasadniczo zachował bez wielu zmian korpus funkcjonariuszy organów ścigania, w tym najwyższego szczebla, był interpretowany jako wymuszony ruch w obawie przed rewoltą, która mogła zawiązać się w tych strukturach. Ich bliskie związki z sojuszniczymi strukturami zagranicznymi tym bardziej komplikowały wyzwanie związane z transformacją. Paszynian utrzymał stary model bezpośredniego nadzoru premiera nad tymi służbami (stworzony pod Serża Sarkisjana), co zinterpretowano jako rozwiązanie niezbędne, aby mógł kontrolować ich lojalność i wydawać im bezpośrednio instrukcje. Wyznanie Paszyniana w 2020 r., że służby te, zamiast łapać skorumpowanych ludzi poprzedniego reżimu, słały im sygnały ostrzegawcze, które powodowały niszczenie dowodów i ukrywanie pieniędzy, zinterpretowano jako przyznanie się do błędnej polityki. Niektórzy z byłych działaczy opozycji twierdzą, że Paszynian powinien był znacznie wcześniej zacząć oczyszczanie organów ścigania, zreformować je i wprowadzić zachodni system ich demokratycznej kontroli. Nie ulega wątpliwości, że nowa Armenia nie zostanie zbudowana bez głębokiej reformy tych służb.

Wielu zwolenników rewolucji krytykuje dziś rządzącą koalicję „Mój Krok” za coraz wolniejsze tempo reform. Mówią

nawet prześmiewczo o partii rządzącej jako o partii umiarkowanego postępu w granicach prawa.

Rzeczywiście granice prawa są wyraźnie czynnikiem ograniczającym plany reform. Kiedy partia rządząca próbuje je przekraczać lub przesuwać, tak jak w przypadku reformy sądownictwa lub Trybunału Konstytucyjnego, przeciwnicy władzy oskarżają ją o nieczystą grę i próbują zmobilizować międzynarodowe struktury przeciwko planom reform. A niektóre instytucje międzynarodowe czasem tracą orientację, a nawet mniej lub bardziej świadomie pozwalają sobą manipulować.

Dowodem takiej politycznej ignorancji jest zrównywanie wysiłków reformatorskich w Armenii ze zmianami w sądownictwie podjętymi przez rządy w Polsce lub na Węgrzech.

Niektórzy zastanawiają się, dlaczego ekipa rządząca, uskarżając się na gorset starych regulacji, nie określa planu ich zmiany, w tym dotyczących konstytucji. Konstytucja Serża Sarkisjana, pozbawiona elementarnych mechanizmów kontroli i równowagi, jest postrzegana przez wielu w Armenii jako systemowa przeszkoda. Niektórzy twierdzą, że zmienianie Armenii na jej podstawie to jak budowanie demokracji i gospodarki rynkowej na podstawie konstytucji Stalina z 1936 r. Teoretycznie byłoby to wykonalne, bo konstytucja Stalina z 1936 r. pobiła rekord świata pod względem liczby praw i wolności gwarantowanych obywatelom. Ale używana przecież była w celach całkowicie przeciwnych.

Partia rządząca często narzeka na negatywne nastawienie mediów, szczególnie tych należących do osób związanych politycznie i gospodarczo ze starym reżimem. Jednocześnie działacze społeczeństwa obywatelskiego twierdzą, że środowisko

medialne, poczynając od mediów publicznych, nie uległo istotnej zmianie w zakresie ram regulacyjnych. Trzeba przyjąć, że krytyczne nastawienie do rządu jest wpisane w tożsamość mediów, bo buduje ich wiarygodność.

Jedną z oczywistych strategicznych decyzji, które podjął Nikol Paszynian po rewolucji, było położenie szczególnego nacisku na gospodarkę. Wezwał on nawet do rewolucji gospodarczej. Wezwanie to z upływem czasu gasło. Niektórzy podejrzewali, że premierem kierowało naiwne przekonanie, że wystarczy usunąć stare skorumpowane praktyki, aby system gospodarczy urodził cud. Tak się nie stało, chociaż tempo wzrostu wyglądało dość obiecująco (wzrost PKB o ponad 7% w 2019 r.). Zakłóciła te trendy jednakże epidemia koronawirusa.

System gospodarczy ma pewne oczywiste granice dla intensywnego wzrostu. Rynek wewnętrzny jest niewielki, dostęp do rynków zewnętrznych jest utrudniony przez bariery logistyczne (częste zamykanie przejścia przez Wierchnij Łars, zamknięte granice z Turcją i Azerbejdżanem) lub trudności sytuacyjne (reżim sankcji z Iranem). Kraj jest uzależniony od dostaw energii, a gospodarka wrażliwa na cenę gazu. Niektórzy Ormianie mawiali z sarkazmem, że jeśli cena gazu wzrośnie o 50%, rewolucja może być skazana na klęskę. Na szczęście dla obecnego rządu dwie porewolucyjne zimy były dość łagodne, a światowe ceny ropy i gazu pikowały w dół w czasach koronawirusa.

Kraj potrzebuje niewątpliwie realnej długoterminowej strategii gospodarczej, która m.in. uczyniłaby Armenię atrakcyjniejszą dla kapitału zagranicznego. Porewolucyjny rząd ogłosił ambitne aspiracje uczynienia sektora IT wizytówką państwa. Gospodarka cyfrowa może pomóc istotnie przewyciężyć

handikap związany z odizolowaną lokalizacją Armenii. Ale rozwój digitalnego sektora przy bardzo konkurencyjnym globalnym środowisku jest kolosalnym wyzwaniem.

Czy zmiana w Armenii jest już nieodwracalna? W niektórych aspektach tak jest niewątpliwie. Poprzedni system zawłaszczenia państwa nigdy nie zostanie odbudowany w starej postaci. Ale niektóre jego elementy mogą być odtworzone w nowym wcieleniu. Niektórzy politycy reprezentujący starą mentalność mogą zostać ponownie wyniesieni do władzy (nawet jeśli sprawować ją będą z tylnego siedzenia). Losy reform w Armenii pozostają politycznie nadal wrażliwe na zakłócenia.

Większość ludzi w Armenii uważa, że rewolucja w 2018 r. miała położyć kres postsowieckiemu systemowi polityki, gospodarki i stosunków społecznych. I najprawdopodobniej jest to jej najważniejszym skutkiem. Spowodowała zmianę sposobu myślenia wielu ludzi. Pod tym względem można ją nazwać rewolucją w sposobie myślenia. Ale sposób myślenia musi być pielęgnowany przez nowe normy i nowe instytucje, nową kulturę polityczną.

CZYNNIK PRZEŁOMU

Ostatecznym punktem odniesienia w ocenie wszelkich wydarzeń dotyczących ich kraju jest dla Ormian bezpieczeństwo. Wszystko, co wydarzyło się w Armenii, postrzegane jest przez pryzmat bezpieczeństwa. A kwestia Górskiego Karabachu (zwanego lokalnie Arcachem) znajduje się w tych rozważaniach na pierwszym planie.

Kwestia ta czasami ma wymiar bardzo emocjonalny. Rewolucja w 2018 r. nadała czynnikowi karabaskiemu nowy wymiar.

Kiedy Nikol Paszynian wstąpił na urząd premiera, otwarcie oświadczył, że nie ma, w przeciwieństwie do dwóch poprzednich prezydentów, mandatu do reprezentowania Górskiego Karabachu w negocjacjach (konsultacjach) mających na celu rozwiązanie konfliktu. W końcu zarówno Robert Koczarian, jak i Serż Sarkisjan byli przedstawicielami elity Górskiego Karabachu i mogli twierdzić, że przemawiają w imieniu mieszkańców tego regionu.

Niektórzy zagraniczni komentatorzy, w tym pochodzący z Azerbejdżanu, początkowo byli dość optymistyczni co do perspektyw uregulowania konfliktu po rewolucji, bo uważali oni polityków z Górskiego Karabachu rządzących Armenią za utrudnienie na drodze do kompromisu. Bez wątpienia zarówno dla Koczariana, jak i dla Sarkisjana kwestia bezpieczeństwa Górskiego Karabachu była absolutnym priorytetem w ich programach politycznych. Nie oznaczało to jednak, że nie byli w stanie dążyć do uregulowania tej sprawy.

Od 2015 r. Serż Sarkisjan był wystawiony na dość silną i spójną presję międzynarodową, by przystać na rozwiązanie konfliktu, chociażby częściowe. Koła dyplomatyczne w Erywaniu spekulowały wtedy na temat tak zwanego planu Ławrowa przedłożonego stronom przez Rosję i konsekwentnie popartego przez pozostałych współprzewodniczących grupy mińskiej, a mianowicie Stany Zjednoczone i Francję. Decydenci w armeńskim ministerstwie spraw zagranicznych reagowali na owe spekulacje dość nerwowo. Karcili obcych dyplomatów

w Erywaniu za używanie samej nazwy planu Ławrowa. „Nie ma planu Ławrowa, i nigdy nie było” – twierdzili, nawet jeśli niektórzy dyplomaci znali szczegółowo jego treść. Dementi ministerstwa spraw zagranicznych interpretowano jako wyraźny znak, że plan stronie armeńskiej całkiem się nie spodobał, a przynajmniej jego pierwsza wersja. Jego pojawienie musiało być dla nich szokiem, bo przyznawali prywatnie, że wyglądał on tak, jakby został zredagowany w Baku.

Wojna kwietniowa 2016 r. spotęgowała wstrząs. Serż Sarkisjan czynił jednak wrażenie, jakby zaczął się poddawać zewnętrznej presji. Jego wizyty w Stepanakerkie (de facto stolicy Górskiego Karabachu) stały się częstsze, ale jego przesłanie o koniecznych kompromisach nie spotykało się tam z entuzjastycznym przyjęciem.

W opinii ówczesnej społeczności dyplomatycznej Sarkisjan chciał opóźnić zawarcie porozumienia, ale nigdy go nie wykluczał. Cokolwiek by mówić, to właśnie on wypowiedział znaną frazę: „Ağdam nie jest naszą ojczyzną” (Ağdam został zajęty przez Ormian w 1993 r. w trakcie wojny karabaskiej, a dziś jako miasto-widmo, porzucone przez azerskich mieszkańców, znajduje się pod kontrolą de facto władz Górskiego Karabachu), co interpretowano jako gotowość do zwrotu niektórych terytoriów wokół Górskiego Karabachu kontrolowanych przez Ormian w ramach pakietu kompromisowego. Nawet niektórzy lokalni analitycy przyznawali, że tak zwane terytoria okupowane od samego początku były traktowane jako karta przetargowa. Ale byli i tacy, którzy ich zwrot kategorycznie odradzali, twierdząc, że uczyni to Górski Karabach bezbronnym i nieuchronnie doprowadzi do jego utraty.

Wydarzenia z lipca 2016 r. dały Sarkisjanowi silny pretekst do gry na czas. „Spójrzcie, jeśli do umowy dojdzie teraz, Armenia pograży się w chaosie” słyszano w niektórych rozmowach w Erywaniu. Presja na przyspieszenie kompromisu wzrosła po wyborach w 2017 r. W czasie rewolucyjnego przesilenia Serż Sarkisjan chciał początkowo przesunąć swoją dymisję, argumentując, że tylko on może zapewnić umowę pokojową na dobrych dla Armenii warunkach. Jego wyjściowa propozycja z 23 kwietnia dotycząca odroczenia rezygnacji do jesieni 2018 r. była uzasadniona jedynie domniemaną odpowiedzialnością za zawarcie umowy. Ale Paszyniana nie przekonał. Musiał ustąpić natychmiast.

Jego kompromisowe nastawienie potwierdziło się przed wyborami w 2017 r., kiedy to uczynił ważny polityczny gest, spotykając się z pierwszym prezydentem Lewonem Ter-Petrosjanem. Inicjatywa wyszła od Ter-Petrosjana, który jako pierwszy zadzwonił do Sarkisjana. Nie było to łatwe. W końcu stali oni po przeciwnych stronach barykady podczas wydarzeń w 2008 r., a Ter-Petrosjan znalazł się wtedy w areszcie domowym. Uważał jednak, że taka rozmowa była wówczas konieczna dla zademonstrowania jedności narodowej. Serż Sarkisjan podjął tę ofertę. Komentatorzy spekulowali, że potrzebował on Ter-Petrosjana jako sprzymierzeńca, na wypadek gdyby umowa pokojowa została zawarta i trzeba by było przekonać do niej społeczeństwo. Istotnie, żaden inny polityk w historii Trzeciej Republiki nie jest uważany za bardziej oddanego sprawie pokoju niż Lewon Ter-Petrosjan.

Zapłacił za to osobistą cenę, gdy w 1998 r. został usunięty z urzędu prezydenckiego przez polityków związanych z elitą Górskiego Karabachu. Okazał twardą determinację

w promowaniu swoich pomysłów na pokój. Podobno nalegał, aby uczynić pokój centralną kwestią w manifeście wyborczym Narodowego Kongresu Armenii w 2017 r., którego był liderem. Mimo że doradcy tłumaczyli, że nie przyniesie to głosów. Tak też się stało. Kongres (który przez prawie dziesięć lat uważany był za jedyną rzeczywiście niezależną partię opozycyjną) nie wszedł do parlamentu.

Odsunięcie od władzy Ter-Petrosjana w 1998 r. było pierwszym przypadkiem, gdy kwestia Górskiego Karabachu zmieniła bieg polityki wewnętrznej. Po rewolucji w 2018 r. niektórzy sfrustrowani politycy mieli nadzieję, że znów może się tak stać.

Dawne kręgi rządzące zaczęły oskarżać Paszyniana o podważanie bezpieczeństwa narodowego, popełnianie błędów negocjacyjnych, brak kwalifikacji do zajmowania się agendą bezpieczeństwa. Dość zaskakująco jesienią 2018 r. niektórzy de facto funkcjonariusze i politycy z Górskiego Karabachu wstąpili w otwartą polemikę z Paszynianem. A jednocześnie media informowały o wizytach Sarkisjana w regionie. Robert Koczarian oświadczył nawet, że będzie kandydował na prezydenta Górskiego Karabachu w 2020 r. (w międzyczasie musiał od swoich planów odstąpić). Jak uważali niektórzy obserwatorzy, obalony reżim miał nadzieję, że Górski Karabach stanie się Wandą ich powrotu do władzy w Armenii. Byłby to całkiem zgubny scenariusz, jeśli chodzi o jego wpływ na stabilność kraju i regionu.

Obóz Paszyniana konsekwentnie wyrażał przekonanie, że Górski Karabach wybierze proreformatorskiego prezydenta i nikt nie będzie w stanie wbić klina między Republikę Armenii a Arcach. Ale z oczywistych wewnętrznych powodów musiał

nalegać, aby Arcach był reprezentowany przy stole negocjacyjnym, a każde osiągnięte rozwiązanie było możliwe do zaakceptowania przez mieszkańców regionu. Ten wewnętrzny wymiar procesu pokojowego po rewolucji w 2018 r. jakoś czasem wymykał się niestety uwadze niektórych dyplomatów zachodnich.

Eksperci, którzy jeszcze niedawno pokładali nadzieje w Paszynianie, że otworzy on okno możliwości dla pokoju, nie ukrywają obecnie swojego rozczarowania. Przypominają jego śmiałe deklaracje propokojowe, kiedy stał u boku Ter-Petrosjana na początku swojej kariery politycznej. Twierdzą, że bezwładność konfliktu narzuca poglądy politykom, a to przecież politycy swoimi śmiałymi poglądami winni przełamywać bezwład. Nowi politycy nieuchronnie podążają za logiką tradycyjnego myślenia z przeszłości. Paszyniana tłumaczy to, że zanim mógł cokolwiek zrobić na froncie zewnętrznym, musiał skoncentrować się na budowaniu wewnątrz kraju swojego wizerunku jako odpowiedzialnego i pragmatycznego lidera.

Czy w regionie kiedykolwiek zapanuje pokój? Konflikt po ponad 30 latach nieudanych prób zakończenia wydaje się nierozwiązywalny. Niektórzy z poprzednich mediatorów byli przytłoczeni jego złożonością. Jeden z wybitnych dyplomatów już w połowie lat 90. porzucił swój optymizm zawodowy, twierdząc prywatnie, że szybciej można dojść do porozumienia izraelsko-palestyńskiego niż porozumienia między Armenią a Azerbejdżanem.

Istnieje wiele powodów, dla których do tej pory konflikt wymykał się uregulowaniu. Jednym z nich była wiara obu stron w to, że czas gra na ich korzyść. Niekiedy jednak oba kraje były dość podatne (przede wszystkim z powodów ekonomicznych)

na międzynarodową presję, aby pójść na kompromis. Wydaje się, że głównym warunkiem skutecznej presji jest konsekwentne i jednolite stanowisko partnerów zewnętrznych, nie tylko tych pośredniczących. Jeśli jeden z nich uważa, że wywieranie nacisku na strony w celu zawarcia umowy nie jest tego warte ze względu na jego interesy w regionie oraz że lokalny konflikt o niskiej intensywności jest całkiem do przyjęcia i może służyć jego interesom, wówczas widoki na pokojowe rozwiązanie pozostaną marne.

Ale parametry uczciwego dealu nie są aż tak trudne do zredagowania. Słynny sejf OBWE w Wiedniu chroni kolejne dokumenty określające elementy porozumienia, które wyraźnie wskazują drogę naprzód.

Unia Europejska sfinansowała analizy wykazujące, że dywidenda pokojowa, szczególnie dla Armenii, jest dość znaczna, oznaczając co najmniej kilka punktów procentowych premii pod względem wzrostu PKB. Unia Europejska zobowiązała się również do wniesienia wkładu w wysiłki na rzecz odbudowy po zakończeniu konfliktu. Jednocześnie nie jest bezpośrednio zaangażowana w proces mediacji, w którym jeden z jej członków – Francja – pełni funkcję współprzewodniczącego. Zmiana formatu mediacji jest z powodów politycznych wykluczona, nawet jeśli jedna ze stron próbowała od czasu do czasu otworzyć tę kwestię. Autor tego tekstu jest prawdopodobnie jednym z niewielu wciąż aktywnych dyplomatów, którzy byli świadkami narodzin Grupy Mińskiej w 1992 r., kiedy pełnił obowiązki szefa polskiej delegacji na spotkaniu przeglądowym KBWE w Helsinkach. Format mediacji podlegał pewnej ewolucji w latach 90. Ważne pozostaje pytanie, w jaki sposób zwiększyć zaangażowanie Unii Europejskiej i jej państw członkowskich

w sprawy regionalne (z należytyym uznaniem działalności specjalnego przedstawiciela UE dla Kaukazu Południowego).

Negocjując w 2017 r. tak zwane priorytety partnerstwa, które są dokumentem politycznym określającym obszary dialogu i współpracy między Armenią a Unią Europejską, strona armeńska zdecydowanie nalegała na usunięcie z dokumentu wszelkich odniesień do konfliktu w Górskim Karabachu. Dlaczego wszakże negocjatorzy UE musieli być tak przychylni temu postulatowi, to już inna kwestia. Dokumenty programowe pomocy rozwojowej dotyczące zarówno Armenii, jak i Azerbejdżanu nie zawierają żadnych warunków, które brałyby pod uwagę tzw. czynnik pokoju. Jakby wojna nie miała znaczenia dla pomocy rozwojowej. A zbyt często w przeszłości czasami nie do przyjęcia agresywna, prowokacyjna retoryka po obu stronach nie znajdowała publicznego potępienia ze strony wysokich urzędników UE.

UE powinna nadać problematyce regionalnej większe znaczenie w swoich stosunkach dwustronnych z innymi krajami, w tym z Turcją. Oddać należy Unii, że podczas rozmów z tureckimi partnerami regularnie podnosi swoje jasne stanowisko w sprawie konieczności normalizacji stosunków między Turcją a Armenią bez warunków wstępnych. Można jednocześnie zrozumieć, że agenda UE–Turcja stała się w ostatnich latach dość przeciążona. Jednak kontekst regionalny zasługuje na to, aby zajmować bardziej poczesne miejsce w kontaktach Unii. Także w kontekście pomocy rozwojowej.

Pewien analityk z Kaukazu Południowego kilka lat temu przedstawił bardzo gorzką, choć przewrotną teorię: „Konflikt wyniszcza nasze państwa, ale przynajmniej umieszcza nasz

region na ekranach ich (zachodnich) radarów. Muszą oni monitorować sytuację, w tym prawa człowieka i demokrację. Czy bez konfliktu zwracaliby na region jakąkolwiek uwagę?”. Czas wreszcie udowodnić, że ów analityk się mylił.

Z regionu szczególnej troski Kaukaz Południowy powinien wreszcie stać się regionem inspiracji. Rozwiązywanie regionalnych konfliktów powinno zająć wyższą pozycję na agendzie bezpieczeństwa Zachodu.

EFEKT DOMINA

Rewolucje mogą być zaraźliwe. Niektóre z nich nawet lubią być eksportowane. Bolszewicy uważali, że rewolucja październikowa stanowiła tylko początek światowej rewolucji proletariackiej. Niektórzy chcieli wzniecać rewolucje permanentnie – i wszędzie. Inne rewolucje wywoływały naturalnie efekt domina. Upadek komunizmu w Europie Środkowej jawi się jako ciąg rewolucyjnych wydarzeń. Niektórzy widzą także organiczny związek między rewolucjami pomarańczową i róż, a także innymi tak zwanymi kolorowymi rewolucjami. Rewolucja w Tunezji zainspirowała w regionie proces zwany arabską wiosną.

Ormianie twierdzili, że ich rewolucja jest wyjątkowa i tak endemiczna w swoich cechach, że winna być traktowana samoistnie. Być może Armenia jest zbyt mała i zbyt specyficzna, aby inspirować inne kraje. Jest jednak w tej rewolucji coś ponadlokalnego. Rewolucja armeńska jest dla całej Europy interesującym przykładem antykorupcyjnej i prodemokratycznej

zmiany dokonanej bez podtekstów geopolitycznych. O takiej właśnie zmianie myślą opozycjoniści w niektórych innych krajach postsowieckich. I z zainteresowaniem przyglądają się armeńskim porewolucyjnym doświadczeniom.

Kluczową kwestią pozostaje, czy w perspektywie długoterminowej możliwe jest zbudowanie w Armenii zachodniego modelu demokracji, praworządności i systemu gospodarczego w ramach wiążącego ją układu geopolitycznego. Jak dotąd sposób prowadzenia narracji politycznej i styl rządzenia praktykowany przez nowe władze w Armenii wyraźnie odróżnia się od pozostałych członków Eurazjatyckiej Unii Gospodarczej czy też Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym.

W wyniku jałtańskiego podziału Europy społeczeństwa w Europie Środkowej i Wschodniej musiały, jako część narzuconej im orientacji geopolitycznej, przyjąć też komunistyczny model państwa, gospodarki i społeczeństwa. Jedno przyszło z drugim. Kiedy próbowały demokratyzować system jak w Czechosłowacji w 1968 r., musiały stawić czoła doktrynie Breżniewa. Dopiero po upadku jałtańskiego podziału geopolitycznego mogły suwerennie rozwijać zachodni model państwa i społeczeństwa.

Czy Armenia będzie w stanie doświadczyć, że geopolityka nie ma znaczenia i że może ona suwerennie zdemontować postsowiecki system rządów i przejść na zachodni model państwa – nie sposób dać jeszcze ostatecznej odpowiedzi. Państwo to poczyniło już bardzo ważne kroki we właściwym kierunku, ale droga jest wciąż długa.

Na przestrzeni postsowieckiej doszło do absolutyzacji pojęcia stabilności. Każda rewolucja z definicji zagraża status quo.

Rewolucje mogą rodzić chaos. Rewolucja armeńska jest zaś dobrym przykładem uporządkowanej transformacji – w ramach konstytucyjnych ograniczeń, bez użycia przemocy, bez chaosu.

Do rewolucji dochodzi, gdy ludzie odczuwają desperację, a jednocześnie wyzwalają się ze strachu. Zwykle ludzie, którzy nie mają nic do stracenia, są wolni od strachu. We współczesnych społeczeństwach ludzie zawsze jednak mają coś do stracenia. I boją się przemocy. Dlatego rządzący w niektórych krajach postsowieckich próbowali wykorzystać obrazy z kijowskiego Majdanu, aby odstraszać zwykłych ludzi od rewolucyjnych nastrojów. I okazało się to całkiem skuteczne. Stosowali taktykę zastraszania w kontekście objawów nawet nieznacznego społecznego niezadowolenia. Zaczęli pokazowo walczyć z korupcją, aby udowodnić społeczeństwu, że reagują na jego emocje. Tego rodzaju socjotechniki mogły mieć wpływ na starsze pokolenie. Ale pokolenie młodsze coraz bardziej nic sobie nie robi z tych polityk odstrasżających. Postsowiecki system rządów nie ma przyszłości.

Niektórzy eksperci uważają, że Zachód w międzyczasie porzucił próby prowadzenia aktywnej polityki wspierania transformacji demokratycznej w krajach postsowieckich. Jego polityka wobec niektórych z tych krajów zmieniała się nie raz w przeszłości, zataczając różne kręgi bez większego wpływu na sytuację w terenie. Przyczyny zatem frustracji nieskutecznością polityki mogą być zrozumiałe. Czy frustracja powinna wszakże powodować bierność? Zachodni politycy zostali ostatnio oskarżeni przez niektórych działaczy opozycji demokratycznej w Europie Wschodniej o abdykację, naiwność, a nawet cynizm.

W polityce Zachodu wobec Europy Wschodniej było początkowo wiele idealizmu. Zachód uważał, że wystarczy usunąć i wykorzenić ideologię komunistyczną, aby Europa Wschodnia automatycznie wkroczyła na demokratyczną ścieżkę. Było potem w tej polityce zbyt wiele liberalnej wiary w nieuchronność demokratycznej transformacji. Niektórzy uważali, że problemy na tej drodze zostaną rozwiązane przez rozbudowę więzi gospodarczych z Zachodem (koncepcja *Wandel durch Handel* i inne). Kiedy na początku nowego tysiąclecia tendencje autorytarne na Wschodzie stały się ewidentne, Zachód zdał sobie także sprawę z siły uwarunkowań geopolitycznych napędzających niektóre państwa postsowieckie. Agresja wobec Ukrainy w 2014 r. była ostatecznym dowodem siły czynnika geopolitycznego.

Polityka zachodnia ostatnich lat, prowadzona zwłaszcza na forum niektórych organizacji międzynarodowych, takich jak choćby Rada Europy, wyglądała, jakby oparto ją na minimalistycznych założeniach: musimy jako Zachód zaakceptować fakt, że na chwilę obecną nie da się zbudować liberalnej demokracji w niektórych krajach postsowieckich, nie możemy liczyć tam na poprawę sytuacji dotyczącej praw człowieka, zapobiegajmy więc przynajmniej jej pogorszeniu; wykażmy strategiczną cierpliwość, ponieważ mamy gdzie indziej znacznie większe zmartwienia. Niektórzy zachodni politycy zaczęli nawet wierzyć, że wywieranie presji poprzez ostracyzowanie niektórych państw Europy Wschodniej, a szczególnie jednego z nich, szkodzi geostrategicznym interesom Zachodu. Bo prawdziwy geostrategiczny (i ideologiczny) rywal Zachodu, w tej optyce, to zupełnie ktoś inny – Chiny.

Nawet jeśli powyższy opis jest zbyt uproszczony, tak właśnie postawa Zachodu jest postrzegana przez niektóre prodemokratyczne siły w niektórych krajach Europy Wschodniej.

Dwa lata po swoim triumfie rewolucja armeńska nadal pozostaje wydarzeniem wyizolowanym. Nie wygenerowała żadnych zewnętrznych skutków. Nawet wyznawcy liberalnej demokracji na Zachodzie, stale wypatrujący w świecie wydarzeń politycznych, które zaświadczałyby o postępach demokracji i podnosiłyby ich nastrój, potwierdzając siłę zachodnich wartości praw człowieka i demokracji, nie poświęcili wiele czasu analizie i promowaniu rewolucji ormiańskiej. Choć raczej powinni. Model armeński jest bowiem zdecydowanie powtarzalny.

UNIKAJĄC GIER O SUMIE ZEROWEJ

Rozwój sytuacji na tzw. przestrzeni poradzieckiej, a zwłaszcza w regionie Partnerstwa Wschodniego, nadal jest postrzegany w kontekście relacji między Rosją a Zachodem. Rosja od czasu rozpadu Związku Sowieckiego patrzyła na byłe republiki sowieckie wybitnie przez pryzmat geopolityki. Aktywność w regionie struktur euroatlantyckich (Unii Europejskiej i NATO) interpretowano w kategoriach ingerencji, a co najmniej geopolitycznej rywalizacji.

Wielu zachodnich ekspertów zastanawiało się nad możliwością strategicznego dealu między Rosją a Zachodem w latach 90. Poszukiwania te wynikały z obaw, że bez politycznych instrumentów łączących Rosję z Zachodem powrót do konfrontacji w stylu zimnej wojny będzie nieunikniony. Niektórzy

byli nawet gotowi wyobrazić sobie członkostwo Rosji w NATO jako środek budowy strategicznej wspólnoty między Rosją a Zachodem. Uruchomiono różne inicjatywy, aby zbudować zaufanie i zrozumienie między partnerami: Rada Rosja–NATO, włączenie Rosji do G7, Rada Partnerstwa Rosja–UE i tym podobne. Bez trwałych rezultatów.

Dzisiaj stosunki te są w najgorszym stanie od upadku świata dwubiegunowego. Wypełniają je wzajemne sankcje, incydenty, dyplomatyczne spory, agresywna retoryka i otwarcie antyzachodnia propaganda w Rosji. Doświadczenia ostatnich trzydziestu lat nie zniechęcają wszakże nawet dzisiaj niektórych zachodnich polityków do myślenia o nowych inicjatywach i resetach.

Niektórzy przywódcy krajów Partnerstwa Wschodniego łamią sobie głowę, jak brać poprawkę na napięcia między UE a Rosją w ich codziennej praktyce dyplomacji, w szczególności jeśli chcą – jak w przypadku Armenii – mieć dobre stosunki z obiema stronami. Dla kilku państw Partnerstwa Unia Europejska (Zachód) stała się otwarcie geopolityczną alternatywą. Dla niektórych innych stosunki z UE są postrzegane jako ważny akt równoważenia nadmiernej, jednostronnej zależności od Rosji. W niektórych przypadkach relacje z Zachodem są po prostu kartą przetargową, gdy presja ze strony Rosji staje się trudna do zniesienia. W pewnych państwach Zachód jest czasem postrzegany przez władze jako zagrożenie podważające prawowitość ich reżimu politycznego. Łączy te wszystkie percepcje przekonanie, że region stanowi strategiczne pole bitwy między Zachodem a Rosją. Nawet jeśli większość zachodnich polityków odrzuca takie podejście.

Przywódcy armeńscy przed rewolucją wymyślili formułę, która miała wyjąć armeńską politykę z kontekstu rywalizacji między Europą a Rosją. Twierdzili, że Rosja była dla Armenii wyborem geopolitycznym, podczas gdy Europa stała się wyborem cywilizacyjnym. Ale jak wspomniano wcześniej: co wszakże czynić, jeśli wybór cywilizacyjny stanie się zakładnikiem wyboru geopolitycznego?

Obecny rząd Armenii deklaruje, że nie chce dokonywać wyboru między Zachodem a Wschodem. I chce być postrzegany jako pośrednik w dialogu i współpracy. Bez wątpienia rozwiązaniem wszystkich dylematów wyboru dla Armenii byłoby strategiczne zbliżenie między Zachodem a Rosją. Nie są wszakże znane żadne konkretne inicjatywy (nawet zgłaszane w trybie poufnym), jakie Armenia podjęła w celu wspierania owego zbliżenia. Przed rewolucją niektórzy armeńscy decydenci, którzy szczerze ubolewali nad pogarszającym się klimatem w stosunkach zachodnio-rosyjskich, nawet nie wierzyli, że byłoby to cokolwiek warte: „jesteśmy zbyt mali i sprawy zaszły za daleko, aby je naprawić”.

Słysząc w Rosji głosy, które znamionują dość schizofreniczne podejście do wpływów europejskich na przestrzeni postsowieckiej. Z jednej strony Europa jest tam postponowana jako słaby, amorficzny, bezsilny byt geopolityczny. Zgodnie z tymi poglądami nie dysponuje ona potencjałem w wymiarze bezpieczeństwa, aby móc podważyć pozycję Rosji w regionie. Europa, w przeciwieństwie do Ameryki, nie jest postrzegana jako poważny rywal na płaszczyźnie bezpieczeństwa. Jako przykład czasem podaje się Armenię – uważa się, że Europa nigdy nie będzie w stanie zaoferować zastąpienia rosyjskich gwarancji bezpieczeństwa, rosyjskiej obecności wojskowej ani rosyjskich dostaw

sprzętu i technologii wojskowych. I do dziś wielu armeńskich ekspertów podziela rosyjskie podejście do traktowania Europy jako politycznego karła, prześladowanego przez ciągle kryzysy wewnętrzne, sparaliżowanego hamletowskimi udrękami dotyczącymi własnej przyszłości.

Z drugiej strony, Europa jest postrzegana przez Rosję jako poważny gracz pod względem „miękkiej potęgi” (*soft power*). Europa stała się w regionie uosobieniem dobrego życia – nie tylko pod względem poziomu dobrobytu i opieki socjalnej, ale także jako model praworządności z niezależnym wymiarem sprawiedliwości, polityką antykorupcyjną i swobodami jednostki. Ta siła magnetyczna Europy ma dość skuteczne oddziaływanie, szczególnie wśród młodych. A niedawne problemy Europy, takie jak kryzys fiskalny czy kryzys migracyjny, nie osłabiły zbyt mocno tej siły. Wbrew wysiłkom wrogiej antyeuropejskiej propagandy.

W kraju takim jak Armenia, biorąc pod uwagę liczną diasporę na Zachodzie, trendy w kulturze masowej, moda i muzyka pochodzą z zagranicy, głównie z Zachodu. Trafiają do Armenii jednak często przefiltrowane przez rosyjskie media i rosyjską popkulturę. Wiadomości polityczne ze światowej sceny docierają do Armenii głównie w interpretacji rosyjskich kanałów telewizyjnych. Jednakże Europa pozostaje pozytywnym symbolem. Nie przypadkiem termin „jewro-remont” stał się synonimem usługi najwyższej jakości w codziennym życiu. Europa to znak najwyższej jakości. A aspiracje młodego pokolenia są ukierunkowane na Europę. Bardziej nawet niż na Amerykę.

„Miękką potęgą” Europy jest postrzegana jako wyzwanie dla rosyjskich wpływów. Dlatego główny atak na Europę

koncentruje się także w Armenii wokół kwestii tożsamości kulturowej i wartości. Europa – przez jej wrogów w przestrzeni postsowieckiej – jest przedstawiana jako dekadenccka, nękana moralnym permisywizmem, praktykująca antyrodzinne, amoralne wartości. Niektóre kręgi w konserwatywnym społeczeństwie, takim jak Armenia, są naturalnie skłonne postrzegać wpływy Europy jako zagrożenie dla lokalnej tożsamości. Każdy europejski ambasador musi wykazywać dużo cierpliwości i poświęcać sporo czasu, by tłumaczyć, że Europa polega na różnorodności kulturowej, że Bruksela nie narzuca żadnego modelu wartości kulturowych, że umowa z Europą nie oznacza wprowadzenia małżeństw osób tej samej płci, legalizacji marihuany czy dopuszczenia eutanazji.

Oficjalna polityka armeńska od lat chce łączyć uprzywilejowane relacje bezpieczeństwa z Rosją z napływem europejskiej pomocy rozwojowej, handlu i inwestycji z Europy. Armenia chciałaby skorzystać ze wszystkich opcji współpracy. Po rozpoczęciu negocjacji w sprawie układu o stowarzyszeniu z Unią Europejską ówczesni decydenci twierdzili, że integracja z UE, WNP i Eurazją nie musi się wykluczać. Nikt wtedy nie powoływał się na zewnętrzne naciski, aby dołączyć do nowo tworzonej unii celnej z Rosją.

Jednakże we wrześniu 2013 r. Ormianie znaleźli się w niezręcznej sytuacji. Nagle przedłożono im „ofertę, której nie mogli odrzucić” – ofertę przystąpienia do Eurazjatyckiej Unii Gospodarczej (ściślej zaś mówiąc – jeszcze wtedy Unii Celnej).

Początkowo sądzili, że dałoby się to członkostwo połączyć z umową stowarzyszeniową negocjowaną z UE. Rzecznik ESDZ wyjaśniła wtedy publicznie, że „gdyby Armenia przystąpiła do

jakiegokolwiek unii celnej, nie byłoby to zgodne z zawarciem dwustronnej pogłębionej i kompleksowej umowy o wolnym handlu między UE a Armenią, ponieważ unia celna oznacza wspólną zewnętrzną politykę handlową i poszczególne kraje członkowskie nie mają już suwerennej kontroli nad swoimi zewnętrznymi politykami handlowymi”. Dla Unii Europejskiej kwestia była czysto techniczna. Strona armeńska zinterpretowała całą sytuację z perspektywy politycznej. Dla Ormian nie ulegało wątpliwości, że propozycja przystąpienia do unii celnej opierała się na względach czysto geopolitycznych.

Nadal szukali Ormianie kompromisu politycznego, by nie osłabić swoich stosunków z Unią Europejską. W październiku 2013 r. Sarkisjan oświadczył, że Armenia jest gotowa podpisać umowę z UE podczas szczytu Partnerstwa Wschodniego w Wilnie w listopadzie 2013 r., jednakże bez komponentu pogłębionej i kompleksowej strefy wolnego handlu, który byłby sprzeczny z członkostwem Armenii w Eurazjatyckiej Unii Gospodarczej / Unii Celnej.

UE musiała odrzucić ten dezyderat. Armeńscy urzędnicy zaczęli więc obwiniać ją o stosowanie podwójnych standardów wobec krajów Partnerstwa Wschodniego, twierdząc, że odmawia się Armenii opcji, która później została zastosowana wobec Ukrainy. Nie chcieli przyjąć do wiadomości faktu, że część umowy o wolnym handlu z Ukrainą została po prostu opóźniona w realizacji z dobrze znanych powodów.

Na szczycie w Wilnie nie doszło do podpisania umowy między Armenią a UE. 9 października 2014 r. Armenia podpisała traktat o przystąpieniu do Unii Eurazjatyckiej, a 2 stycznia 2015 r. stała się jej państwem członkowskim.

Na użytek wewnętrzny armeńscy urzędnicy rządowi próbowali obarczyć Unię Europejską całą odpowiedzialnością za niepowodzenie negocjacji, a nawet za decyzję o przystąpieniu Armenii do Unii Eurazjatyckiej. Twierdzili, że Unia Europejska, odrzucając ich pomysły dotyczące pogodzenia obu umów i realizując politykę „albo/albo”, zmusiła Armenię do przystąpienia do Unii Eurazjatyckiej. Niektórzy posunęli się nawet do sugestii, że Unia Europejska, negocjując nową kompleksową i wzmocnioną umowę o partnerstwie po kilku latach, przyznała się do swojego wcześniejszego błędu.

Narracja armeńska w tamtym czasie przeoczyła jeden ważny element – Unia Europejska nie wywierała nigdy presji na Armenię ani na inne państwa Partnerstwa Wschodniego, aby rozpocząć negocjacje w sprawie układów o stowarzyszeniu. Kraje, które nie były na to gotowe (z różnych powodów), takie jak Białoruś i Azerbejdżan, pozostały przecież poza tym procesem.

Ormianie spoglądali od zawsze na Partnerstwo Wschodnie z pewnymi obawami. Lokalni eksperci oceniali je przede wszystkim jako narzędzie geopolityczne Zachodu, mające na celu wypchnięcie Rosji z regionu. Zawsze trzeba im było przypominać, że Unia Europejska była dość otwarta na włączenie Rosji do swoich strategii sąsiedzkich. Kiedy koncepcje te były tworzone prawie dwadzieścia lat temu, to właśnie Rosja nie chciała być traktowana przez UE jako sąsiad. Rozmówcy z UE dyskutujący o tym wtedy ze swoimi rosyjskimi partnerami przypominają dziś, że słyszeli od Rosjan, że status sąsiedztwa tylko zmniejszy znaczenie Rosji, która chciała być postrzegana przez UE jako partner globalny na równi ze Stanami Zjednoczonymi lub Chinami. Nawet podczas opracowywania ram Partnerstwa

Wschodniego urzędnicy UE oferowali Rosji pełną przejrzystość i otwartość.

Niektórzy Ormianie wskazują, że początkowa formuła Partnerstwa Wschodniego opierała się na filozofii „jeden rozmiar dla wszystkich”. Prawda jest jednak taka, że Partnerstwo nigdy nie ograniczało indywidualnych ambicji krajów regionu. Pod wieloma względami był to proces napędzany indywidualnymi oczekiwaniami partnerów. W istocie oczekiwania wobec Partnerstwa zaczęły się dywersyfikować w trakcie całego procesu. W przypadku Ukrainy i Gruzji dwustronne stosunki z UE przyćmiły z czasem ramy wielostronne.

Partnerstwo Wschodnie w ciągu dziesięciu lat swojej działalności zaowocowało niezaprzeczalnymi osiągnięciami, w tym o konkretnym pożytku dla Armenii. Otworzyło nowe kanały finansowania jej potrzeb rozwojowych. Przynosi jej rocznie kilka dodatkowych milionów euro. Osobliwością różnych programów Partnerstwa Wschodniego jest to, że fundusze są rozdzielane tam zgodnie z kryterium jakości projektów, a Armenia musi o to konkurować z innymi krajami Partnerstwa Wschodniego. Platformy utworzone w ramach procesu Partnerstwa Wschodniego oferują możliwość wymiany doświadczeń i informacji, których owe sześć krajów nie miałyby okazji niczym zastąpić. Nieformalne spotkania ministrów w sprawach takich jak energia, środowisko czy edukacja okazywały się bardzo konstruktywne i wzbogacające.

Prawdą jest, że Armenia miała nadzieję, że program „20 celów na 2020 r.”, który zawierał bardzo konkretnie nakreślone cele orientacyjne dla Partnerstwa Wschodniego, przybliży realizację jej narodowych priorytetów, takich jak choćby

wprowadzenie ruchu bezwizowego. Niestety tak się nie stało. Niemniej jednak Armenia jest krajem, który powinien być bardziej niż inne zainteresowany rozwojem i ożywieniem formatu Partnerstwa Wschodniego. Erywań mógłby podejmować więcej inicjatyw na tym polu.

W Armenii istnieją siły, które otwarcie opowiadają się za zadeklarowaniem członkostwa w Unii Europejskiej jako finalnego celu jej polityki. W październiku 2019 r. wicepremier Tigran Awinian poinformował, że „ewentualne przystąpienie do UE jest pytaniem, na które obywatele Armenii muszą dopiero odpowiedzieć i które pojawi się dopiero po wystąpieniu Armenii z Unii Eurazjatyckiej”. Rząd propaguje obecnie opcję „ani Zachód, ani Wschód”. Istnieje oczywiście czynnik zewnętrzny – wpływ doświadczeń Gruzji i innych krajów Partnerstwa Wschodniego z procesu zbliżenia z Unią Europejską. Niektórzy Ormianie twierdzą, że jeśli mieszkańcy Armenii zobaczą realne korzyści i zaczną zazdrościć Gruzinom (na razie wydaje im się, że zazdrościć im mogą jedynie bezwizowego podróżowania do Europy i plaż Batumi), zaczną wyrażać proeuropejskie nastawienie także przy urnie wyborczej. Na wyborach w 2018 r. dwie najbardziej prozachodnie i proeuropejskie partie (nacjonalistyczna „Sasna Tsrer” i umiarkowany politycznie sojusz „My”) nie weszły do Parlamentu. „Oświecona Armenia”, praktykująca czasem całkiem europejskie myślenie, przeniosła się na ławy opozycji.

Armenia nadal deklaruje przywiązanie do uczestnictwa w rosyjskich platformach integracyjnych. Po wojnie w kwietniu 2016 r. nie ukrywano w tym kraju rozczarowania interpretacją zobowiązań w ramach Organizacji Układu o Zbiorowym Bezpieczeństwie przez niektórych jej członków, w szczególności

gdy Azerbejdżan prowadził ostrzał i atakował granicę państwową Armenii. Teoretycznie atak na terytorium jednego państwa członkowskiego powinien wywołać reakcję jego sojuszników, jeżeli są oni związani układem obrony zbiorowej. Nieoczekiwane odwołanie (nawet jeśli było to uzasadnione procedurami krajowymi) wyznaczonego przez Armenię sekretarza generalnego Organizacji, a następnie zablokowanie nominacji jego następcy nie wzbudziło wielkiej sympatii do tego państwa w ramach paktu. Ale dla Armenii Organizacja pozostaje niekwestionowanym filarem bezpieczeństwa ze względu na stosunki z Rosją.

Władze armeńskie, uzasadniając decyzję o przystąpieniu do Unii Eurazjatyckiej, przytaczały szereg argumentów, które rzekomo uczyniły członkostwo opłacalnym. Jeden z nich dotyczył statusu setek tysięcy armeńskich pracowników tymczasowych w Rosji (ogólnie mieszka tam prawdopodobnie ponad 2 miliony Ormian). Migranci ci transferują okazałe przekazy pieniężne, które kilka lat temu w szczytowym momencie stanowiły prawie 20% PKB Armenii. Wymuszony powrót tych Ormian do kraju, gdzie nie czekają na nich żadne miejsca pracy, stworzyłby wybuchową sytuację społeczną (i polityczną). Kolejny powód dotyczył stabilności i cen dostaw gazu i ropy z Rosji (choć są ceny regulowane umowami dwustronnymi). Jeszcze inny związany był z dostępnością rosyjskiego rynku dla armeńskich produktów rolnych, w tym wina i brandy. Krótko mówiąc, cała ta argumentacja sugerowała, że nieprzystąpienie do Unii Eurazjatyckiej miałoby negatywny wpływ na stosunki dwustronne między Armenią a Federacją Rosyjską.

Armeńscy eksperci przyznają, że główny powód ustanowienia Unii Eurazjatyckiej był wyraźnie geopolityczny. Podane publicznie powody kryją rzeczywiste mechanizmy związane

z naciskiem ze strony Rosji, aby doprowadzić do włączenia Armenii do eurazjatyckiej formuły integracyjnej. Rosja chciała wyznaczyć z jej pomocą granice swojej strefy geopolitycznej. Cel ten został osiągnięty w sposób zadowalający, a armeńscy eksperci uważają, że z geopolitycznego punktu widzenia Rosja niewiele więcej może obecnie osiągnąć w formacie euroazjatyckim. Odrzucają oni jako nierealistyczne pomysły narzucenia rubla jako wspólnej waluty lub realizowania innych projektów integracyjnych.

Skutki członkostwa w Unii Eurazjatyckiej oceniają lokalni eksperci w sposób umiarkowany. Handel z Rosją osiągnął poziom 2 miliardów dolarów i wykazał ostatnio dynamiczny trend wzrostowy, przy czym Rosja stanowi ponad 25% całego armeńskiego handlu. Jednak to Unia Europejska jako blok przez kilka lat była głównym rynkiem dla eksportu Armenii (głównie ze względu na miedź i inne surowce mineralne).

Tym, co trapi Ormian, jest całkowita zależność od Rosji pod względem dostaw energii (głównie gazu). Nie jest tajemnicą, że priorytetem Armenii w Unii Eurazjatyckiej było stworzenie jednolitego rynku energii. Obecna sytuacja w Unii sprzyjająca rosyjskim przedsiębiorstwom mającym dostęp do tańszych dostaw energii stwarza niekorzystną sytuację dla armeńskich producentów.

Zależność gospodarcza od Rosji powoduje niestabilność w czasach kryzysu, gdy uderzają w kurs rubla spadające ceny ropy (lub sankcje), a rosyjska gospodarka się kurczy. Armenia konsekwentnie prowadząca politykę stabilnej waluty krajowej (dram) i polegająca na przekazach z zagranicy natychmiast cierpi wskutek osłabienia rubla.

Armeńskie powiązania gospodarcze wymagają nadania im bardziej zrównoważonego charakteru. Mądrą strategią porewolucyjnego rządu jest położenie większego nacisku na relacje z sąsiadami. Stosunki z Iranem są nadal utrudnione przez reżim sankcji. Armenii udało się ocalić wymianę barterową (energia elektryczna za gaz) i liczy ona bardzo na uruchomienie nowego połączenia przesyłowego, które zwiększyłoby wolumen barte-ru. Ale ambitniejsze plany muszą prawdopodobnie poczekać na lepsze czasy, nawet jeśli Armenia jest już na nie gotowa. Unia Europejska zadeklarowała gotowość do wspierania modernizacji infrastruktury granicznej z Iranem (podobnie jak wcześniej na granicy armeńsko-gruzyńskiej). Powinna wszakże robić więcej, aby zmodernizować połączenie drogowe północ-południe na terytorium Armenii, w szczególności poprzez zaproponowanie dobrego modelu finansowania budowy tunelu Sisian–Kadžaran.

Stosunki z Gruzją otrzymały ostatnio znaczny impuls polityczny. Nie sposób przywołać podobnej intensyfikacji kontaktów w latach od odzyskania niepodległości. W pewnym sensie ci dwaj historyczni sąsiedzi dopiero co odkrywają siebie jako partnerów. Unia Europejska powinna zdecydowanie zachęcać i wspierać ich dwustronne powiązania.

Rosja pozostanie dla Armenii kluczowym partnerem międzynarodowym. Ormianie będą musieli polegać na tanim rosyjskim sprzęcie wojskowym (dostarczonym do Armenii po rosyjskich cenach fabrycznych, co oznacza, iż jest on nawet czterokrotnie tańszy niż dla innych krajów), stosunkowo tanim rosyjskim gazie (po 2019 r. po 10-procentowej podwyżce wciąż jest sprzedawany po 165 dolarów za 1000 metrów sześciennych), który z czasem (i z niezbędnymi inwestycjami) może

zostać zastąpiony gazem z Iranu. Pozostaje Rosja także rynkiem absorbującym armeńską „nadwyżkę” siły roboczej i konsumującym jej eksportowe produkty rolne.

Armenia jest związana z Rosją silnymi powiązaniem historycznymi (niektórzy Ormianie utrzymują, że odbicie przez Rosję wschodniej Armenii z rąk Persji w XIX w. ocaliło Ormian jako naród). Niemniej jednak większość Ormian chciałaby, aby stosunki zagraniczne i gospodarcze Armenii były bardziej zrównoważone.

Znaczenie Armenii dla Rosji podlegało ewolucji. Niektórzy uważają, że Armenia służy teraz Rosji jako niezastąpiony pied-à-terre w regionie Kaukazu Południowego. W czasach, gdy Gruzja zbliża się ku Zachodowi, a Azerbejdżan ku Turcji, wartość Armenii jako strategicznego składnika aktywów dla Rosji musiała wzrosnąć.

Ponadto Armenia zawsze była chętnym sojusznikiem Rosji. Ostatecznie to właśnie armeńscy przywódcy (a nie na odwrót) zwrócili się do Rosji, kiedy zawalił się ZSRS, aby przejęła bazę wojskową w Giumri i wzięła na siebie odpowiedzialność za ochronę granic z Iranem i Turcją. Podobno istnieje zasada, że nigdy nie wolno porzucać chętnego sojusznika.

Ale jednocześnie Armenia jest prawdopodobnie jedynym bliskim sojusznikiem Rosji, który nie potrzebuje jej parasola politycznego w kontaktach z Zachodem. Przez wiele lat eksperci przypisywali Rosji politykę opartą na założeniu, że im bardziej autorytarne stawały się reżimy na obszarze postsowieckim, tym bardziej uzależniały się politycznie od Rosji. Każdy przywódca postsowieckiego kraju, który podlegał zachodniemu ostracyzmowi, mógł liczyć na ciepłe przyjęcie w Moskwie.

Każdy zachodni ostracyzm sprawiał, że postsowieccy przywódcy przesuwali się ku Rosji. Skutkowało to czasem trudnymi dylematami dla Zachodu. Chociażby: jak reagować na uwiad demokracji i deficyty praw człowieka w tych krajach. Niektórzy eksperci uważają na przykład, że pryncypialne stanowisko Zachodu w sprawie dyktatorskich rządów Łukaszenki tylko pomogło całkowicie uzależnić Białoruś od Rosji.

Rewolucja w Armenii zupełnie zmieniła tę perspektywę. Państwo to zdobyło mocne demokratyczne referencje i zaśluzło sobie na serdeczne uznanie ze strony Zachodu. Ale jednocześnie nie mogło sobie pozwolić na dystansowanie się od Rosji. Jak kiedyś skomentował to prywatnie wobec dyplomatów europejskich pewien starszy rangą urzędnik armeński – bliiski sojusz bezpieczeństwa między Armenią a Rosją musiał niechybnie ostudzić niektóre zachodnie reakcje na demokratyczne zmiany w Armenii.

Niektórzy rosyjscy analitycy wypowiadali się podczas rewolucyjnych dni w sposób potwierdzający istnienie tam aksjomatu uznawania Armenii za skazaną na Rosję. „Gdzież indziej mieliby się podziać?” – twierdzili. Niektóre decyzje Nikola Paszyniana interpretowano jako przyznające im rację. Zgodził się on wysłać do Syrii niewielki kontyngent armeński pod dowództwem rosyjskim, zezwolił rosyjskim inspektorom na wizyty w laboratoriach bakteriologicznych wspieranych przez USA i podpisał nowe kontrakty na rosyjską broń. To skłoniło niektórych lokalnych miłośników teorii spiskowych do podejrzeń, że Moskwa musiała stać za jego dojściem do władzy. Argumentują, że Serż Sarkisjan był w stanie wykazać większy opór wobec nacisków zewnętrznych, i powołują się na jego odmowę uznania Osetii Południowej lub Abchazji (co na dobrą

sprawę byłoby dość ryzykowne jako dla sąsiada Gruzji ze swoją tam mniejszością narodową) czy Naddniestrza. Ale sedno w tym, że nie uwzględniają oni tego, co mógłby dostać w zamian. Nigdy nie zaoferowano by mu przecież niczego, co zmusiłoby go do poważnego przemyślenia podobnego ruchu. Ale w najbardziej strategicznych kwestiach, takich jak przystąpienie do Unii Eurazjatyckiej, Sarkisjan nie dawał Rosji żadnych powodów do narzekań. Sugerowanie wielkiego spisku wokół rewolucji implikującego Rosję (zresztą wspieraną przez Stany Zjednoczone, aby uczynić rzeczy bardziej absurdalnymi) zakrawałoby na szaleństwo.

W rzeczywistości Rosja wykazała się silną powściągliwością polityczną, ostrożnością i dystansem podczas decydujących dni rewolucji. Nie zostało tam powiedziane i zrobione publicznie nic, co sugerowałoby pokusę ingerowania w rozwój wydarzeń. To, co zostało powiedziane za kulisami, można sobie jedynie wyobrazić.

Niektóre oświadczenia z Moskwy zostały jednakże z niepokojem zinterpretowane przez Ormian. Kiedy w oficjalnym rosyjskim oświadczeniu prasowym po rozmowie prezydenta Putina z p.o. premiera Karapetianem 26 kwietnia wspomniano, że rozwiązanie kryzysu musi nastąpić „na podstawie wyników legalnych wyborów parlamentarnych w kwietniu 2017 r.”, lokalni obserwatorzy postrzegali to jako próbę odwrócenia zwycięstwa rewolucji. Ale, jak powiedziano wcześniej, takie stwierdzenia pojawiły się zbyt późno, aby wpłynąć na logikę wydarzeń.

Niektórzy lokalni eksperci twierdzą, że wyczekujące podejście Rosji utrzymuje się do dziś. Rząd Armenii zdecydowanie

nie stworzył poważniejszego pretekstu, by można było zakwestionować jego szczerość w potwierdzeniu ważności dwustronnych i wielostronnych więzi z Rosją. Niemniej jednak przywrócenie równowagi armeńskim powiązaniom zagranicznym jest nieuniknione. To, czy najbliższy sojusznik Armenii spróbuje ustalić granice swobody w tym procesie i gdzie zostaną one wytyczone, pozostaje kwestią sporną. I prawdopodobnie nawet władze armeńskie nie mają tego pełnej świadomości, a może nawet nie mają odwagi o to zapytać.

Tylko jedna partia w Armenii (i to znajdująca się poza parlamentem) postuluje obecnie wyjście z formatów integracyjnych kontrolowanych przez Rosję. Teoretycznie Rosja mogłaby zastosować silne instrumenty nacisku, aby ograniczyć prozachodnią grawitację Armenii. Ale zastosowanie ich wiązałoby się z dużym ryzykiem nadszarpnięcia jej wizerunku w społeczeństwie, zwłaszcza gdy społeczeństwo jest dość zjednoczone i nie ma politycznych alternatyw dla obecnego układu na scenie politycznej Armenii.

KILKA MYŚLI NA DROGĘ

Każda udana rewolucja może w pewnym momencie obrócić się przeciwko sobie. Rewolucjom przewodzą na ogół ludzie, którzy wiedzą, jak zniszczyć stary porządek, a niekoniecznie – jak zbudować nowy. Przy tym rewolucje lubią pożerać swoje własne dzieci. W Armenii proces „pożerania” wciąż nie nabral spektakularnego wymiaru. Ale pęknięcia w rewolucyjnym obozie są widoczne. Sporo ludzi rewolucji opuściło stanowiska rządowe. Spada powszedni entuzjazm.

W obozie rewolucyjnym przyziemne trudy rządzenia w sposób naturalny przesłaniają emocje czasów rewolucyjnych. Rewolucyjna retoryka zanika i przestaje mobilizować. W szczególności, jeśli oczekiwane zmiany i reformy dokonują się w wolnym tempie – cóż z tego, że z przyczyn obiektywnych.

Chwalebne dni kwietnia 2018 r. blakną w pamięci. Ale dla wielu Ormian, przede wszystkim dla młodego pokolenia, były to najbardziej formujące dni ich życia. Pozostaną w pamięci jako decydujące momenty w ich obywatelskich biografiiach.

Dla niektórych obserwatorów referendum konstytucyjne zaplanowane początkowo na 5 kwietnia 2020 r. mogło stać się ważnym barometrem stanu emocji politycznych w Armenii. Zmiana konstytucji, aby umożliwić odnowienie składu Trybunału Konstytucyjnego, jest postrzegana w obozie rządzącym jako kontynuacja ducha rewolucji. Wśród przeciwników, w tym pochodzących z kręgów poprzedniej władzy, jest ona opisywana jako atak na praworządność. Sama frekwencja mogłaby być miarą wsparcia dla porewolucyjnego rządu i oceny jego działania.

Pandemia koronawirusa radykalnie zmieniła kontekst polityczny w Armenii. Oczywiście jest, że w wielu krajach może ona powodować poważne wstrząsy w życiu politycznym. Każde referendum, głosowanie publiczne czy wybory po kryzysie będą okazją do wyrażenia opinii obywateli raczej o sprawności rządu w rozwiązywaniu kryzysu, niż o czymkolwiek innym. Dotyczyć to będzie prawdopodobnie także Armenii.

Koronawirus przypomniał o roli „czarnych łabędzi” (czyli wydarzeń niespodziewanych, które spadają jak grom z jasnego nieba, a potrafią zasadniczo zmienić losy ludzi) w naszym

współczesnym życiu. Nassim Nicholas Taleb mógłby napisać kolejny tom swojej książki o skutkach „czarnych łabędzi”, analizując skutki pandemii.

Przez pryzmat kryzysu widać już, jak bardzo miał rację, mówiąc: „Nasze sukcesy przypisujemy naszym umiejętnościom, a nasze porażki zewnętrznym zdarzeniom pozostającym poza naszą kontrolą”. Dotyczy to nie tylko radzenia sobie z efektami „czarnych łabędzi”.

Jeśli rewolucje upadają, wszyscy rewolucjoniści przypisują to zdarzeniom zewnętrznym poza ich kontrolą.

Każde społeczeństwo reformujące swój kraj potrzebuje jasnych i inspirujących celów. Musi być coś, co je mobilizuje i pomaga przezwyciężać trudności. Dla krajów Europy Środkowo-Wschodniej perspektywa dołączenia do zachodniej rodziny narodów, wejścia do UE i NATO, stanowiła taki właśnie inspirujący cel. Zmniejszenie luki dobrobytu w stosunku do bogatych krajów Europy Zachodniej inspirowało ich wysiłki dziś.

Co będzie inspirować porewolucyjną Armenię w najbliższej przyszłości? Czy armeńskie społeczeństwo podąży razem za takim celem?

Rewolucja armeńska jest unikatowym przykładem pokojowej zmiany bez reperkusji geopolitycznych. Świat zewnętrzny, a przede wszystkim Zachód, powinien ją eksponować jako wzór dokonywania radykalnych rzeczy w odpowiedzialny sposób.

Sami Ormianie pozostali dość nieśmiali w wykorzystywaniu swojej rewolucji do zmiany wizerunku kraju i rozpropagowania go w świecie. A świat, zarówno Zachód, jak i Wschód,

wykazał ostrożność w kwestii docenienia rewolucji armeńskiej (z zupełnie różnych powodów).

To, dlaczego Zachód wykazywał momentami tak dużą wstrzeмиęźliwość, zastanawia i dziś wielu Ormian. Ponieważ kraj jest mały i peryferyjny? Ponieważ jego specyfika jest tak wyjątkowa? Ponieważ sama Armenia nie chciała być postrzegana jako kolebka zmian politycznych w innych krajach?

Zachód wysłał wszakże wyraźne sygnały uznania. Angela Merkel i Emmanuel Macron złożyli w Armenii bardzo udane wizyty i wychwalali tamtejszą rewolucję. Unia Europejska i niektórzy jej członkowie postanowili po rewolucji zwiększyć poziom pomocy rozwojowej. Ale w niektórych innych krajach percepcja Armenii wróciła do starych schematów.

Dla Zachodu podstawowe pytanie brzmi: jak duży może być polityczny uzysk z sukcesu rewolucji w Armenii, a jak duża strata w przypadku porażki? W przeciwieństwie do Gruzji, Ukrainy i Mołdawii, gdzie Unia Europejska jest czasami postrzegana jako gwarant procesu reform w tych krajach, ten rodzaj powiązania nie dotyczy Armenii. Jednak koszty porażki rewolucji armeńskiej mogą być znacznie wyższe niż korzyści z jej sukcesu.

Ormianie, przynajmniej niektórzy z nich, często narzekają, że Zachód powinien wykazywać w stosunku do nich więcej troski. Dla wielu europejskich polityków Armenia jest odległym, małym krajem, o którym wciąż niewiele wiedzą. Nie jest postrzegany jako strategicznie ważny ze względu na lokalizację ani jako bogaty w zasoby naturalne. Nie jest jeszcze uważany za cel turystyki masowej.

Ale większość Europejczyków, którzy odkryli dla siebie Armenię, będzie twierdzić, że Zachód powinien dla niej robić więcej.

Wielu Ormian zadaje gościom z Zachodu bezpośrednio pytanie: „czy w ogóle uważacie nas za Europejczyków?”. Ci zaś niekiedy wahają się udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Podręczniki do historii na Zachodzie nie zawierały przecież wielu odniesień do Armenii, gdy opowiadały historię Europy. Bardzo niewielu Europejczyków wie, że Paghtasar Dpir napisał swoją *Pieśń radości* pięćdziesiąt lat wcześniej, nim Fryderyk Schiller przelał na papier swoją *Odę do radości*. Komitas skomponował *Antuni* ponad pięćdziesiąt lat przed napisaniem przez Góreckiego *Symfonii pieśni żałobnych*. Niezwykłe zbiegi okoliczności – ale most między Armenią a Europą tworzą tysiące takich właśnie kulturowych zbiegów okoliczności. Nie musimy wymyślać sztucznych konstrukcji, ale po prostu odkryć istniejące więzi na nowo i wykorzystać ów kulturowy i cywilizacyjny pomost.

Na początku lat 90. po rozpadzie Związku Radzieckiego politycy i biurokraci w Europie Zachodniej musieli na nowo zdefiniować granice Europy. Musiała to zrobić Unia Europejska, a także Rada Europy, nie wspominając już o Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. W przypadku OBWE naciski ze strony Stanów Zjednoczonych, Turcji i Rosji przesądziły o tym, aby dołączyć do Organizacji wszystkie państwa postsowieckie, w tym z Azji Centralnej. W przypadku Rady Europy ostateczny kompromis wykluczył Azję Centralną ku rozczarowaniu m.in. Kazachstanu, który skarżył się potem, że część jego terytorium w Europie jest większa niż europejskie terytorium Turcji, a jednak nie pozwolono mu przystąpić do

Rady Europy. Rada Europy otworzyła wszakże swoje wrota na Kaukaz Południowy.

W sensie politycznym Armenia jest nieodłączną częścią Europy w rozumieniu Unii Europejskiej i Rady Europy. W sensie ekonomicznym i technologicznym – nie zawsze. Niestety, niektóre duże międzynarodowe korporacje nadal umieszczają Armenię na swoich mapach korporacyjnych jako część Azji. A mentalność niektórych Europejczyków wciąż ma kłopot z akceptacją szerokiego rozumienia Europy odzwierciedlonego w członkostwie w Radzie Europy. Uważają oni, że Europa kończy się gdzieś na Bugu czy Dniestrze. Jeśli nawet nie na kawiarniach w Wiedniu.

Jak kiedyś przypomniał Luuk van Middelaar, granice Europy były zawsze płynne. Pierwotnie Europę stanowiły ziemie imperium Karola Wielkiego i jego wasali. Kiedy zapraszano wszystkie europejskie królestwa do negocjacji traktatów westfalskich, wśród zaproszonych nie było Anglii, Rosji czy Turcji. Ale już w 1815 r. na kongresie wiedeńskim Rosja i Anglia były traktowane w pełni jako państwa europejskie. Turcja została uznana za europejskiego gracza na konferencji berlińskiej w 1878 r.

Armenia jest jedną z najstarszych cywilizacji świata. Na murach Persepolis można zobaczyć wyrzeźbione tam sylwetki armeńskich wojowników. Ormianie byli w stanie przez wieki podtrzymywać swoją tożsamość. Współcześni Ormianie mogą bez trudu czytać teksty napisane w ich języku w V w.

Armenia była pierwszym krajem, który przyjął chrześcijaństwo jako religię państwową (przed Rzymem). A jego kontakty z zachodnim chrześcijaństwem były czasami bardzo bliskie i wzbogacające. Wystarczy przypomnieć historię królestwa

Cylicji – państwa ormiańskiego, które istniało w XI–XIV w. poza kolebką etniczną Ormian, u wybrzeży wschodniej części Morza Śródziemnego. Żyły tam obok siebie wspólnoty rzymskokatolickie, prawosławne i ormiańskie tak harmonijnie, że skusiło to niektórych kościelnych hierarchów do pomysłu wchłonięcia Ormian do Kościoła zachodniego. Jak sugerował Norman Davies w swoich *Zaginionych królestwach*, państwa rodzą się i trwają w dużej mierze dzięki historycznemu szczęściu. Szczęście jest ważne zwłaszcza w okresie niemowlęcym państw. Armenię omijało takie szczęście przez wieki, pomimo jej silnych instynktów i tradycji państwowotwórczych.

Kiedy w styczniu 1918 r. Woodrow Wilson zaprezentował swój program pokojowy, Polska znalazła się tam w odrębnym punkcie. Armenia, choć pośrednio objęta sąsiednim punktem, nie została wymieniona tam z nazwy. Co prawda później Wilson nakreślił swoją wizję Armenii, ale bez trwałych konsekwencji. Niektórzy Węgrzy nadal ubolewają, że ich kraj miał pecha z powodu konieczności zaakceptowania warunków z Trianon. Turcja okazała się wystarczająco silna, aby pogrzebać narzucone jej warunki z Sèvres. Niektórzy Ormianie wciąż uważają, że gdyby Senat USA zaakceptował wniosek Wilsona o przejęcie mandatu nad Armenią, cały region Bliskiego Wschodu wyglądałby dzisiaj zupełnie inaczej. Ale to już czysta historia alternatywna, która nie powinna zajmować obecnych pokoleń. Upadek Związku Sowieckiego umożliwił urzeczywistnienie marzeń o państwowości Armenii.

Armenię nękała przez wieki klątwa jej położenia, kraju wciśniętego między duże i ekspansywne imperia – Persję, Turcję i Rosję. Niektóre narody europejskie mogą znaleźć liczne podobieństwa z Armenią w walce o zachowanie własnej tożsamości.

A bycie częścią tych wschodnich imperiów naturalnie oddzieliło ten kraj od głównego nurtu europejskiego rozwoju.

To odseparowanie nie może tłumaczyć prawie niemej europejskiej reakcji na ludobójstwo Ormian w 1915 r. Nawet jeśli Europa jako taka była wówczas sama uwikłana w wojnę i przechodziła własne cierpienia. Uznanie cierpienia Ormian za część naszej wspólnej europejskiej historii jest moralnym imperatywem dla Europy i jej poszczególnych narodów. Chodzi w tym o coś więcej niż zwyczajowy gest. O coś więcej niż znak współczucia. I nie należy uzależniać go od politycznych kalkulacji, w jaki sposób może wpłynąć to na stosunki państw europejskich z innymi krajami.

Dom Historii Europejskiej w Brukseli to doskonałe miejsce, aby pokazywać integralny związek Armenii z resztą Europy i o nim opowiadać.

Europejski promień nadziei może stać się inspiracją dla wielu Ormian. Europejscy politycy i dyplomaci powinni czynić więcej, aby docierał on skutecznie do armeńskiego społeczeństwa.

Przed wszystkim należy zwiększyć liczbę ambasad europejskich w Erywaniu. Słowacja niedawno dała dobry przykład, otwierając po latach ambasadę. Partnerzy armeńscy nie raz wskazywali, że chociażby tak ważny kraj europejski jak Dania, która utrzymuje 12 ambasad w Afryce, nie ma żadnej placówki na Kaukazie Południowym i w Azji Centralnej. Holandia ma 101 ambasad i 318 konsulatów na całym świecie, ale do niedawna nie miała reprezentacji w Armenii (zasługuje na pochwałę jej decyzja o rychłym otwarciu ambasady w Erywaniu). Zasięg dyplomatycznej obecności Hiszpanii jest bardzo globalny (tworzą

ją nawet dwie placówki w Gwinei Równikowej), ale nie obejmuje Armenii.

Połączenia komunikacyjne między Armenią a Europą również wymagają poprawy. Dobrze, że europejscy organizatorzy wycieczek odkryli niedawno potencjał turystyczny tego kraju, a tanie linie lotnicze zaczęły latać tam z Europy.

Jednak kwestia europejskiej inspiracji wymaga solidnego odzwierciedlenia we wspieraniu modernizacji kraju. Unia Europejska od wielu lat „boksuje poniżej swojej wagi” w regionie, a w szczególności w Armenii. W ostatnich latach skutecznie wzmocniła tam swój profil polityczny. Ale należy to traktować jedynie jako początek procesu. Bałkany Zachodnie w latach 90. wykazywały podobne niedostateczne zaangażowanie Europy. Ale udało się to przemoc. Dziś Bałkany są uważane za jeden z głównych priorytetów w polityce zagranicznej Unii Europejskiej.

Armenia jest w o tyle szczęśliwym położeniu, że nie musi powtarzać całej odysei transformacyjnej innych krajów postkomunistycznych. Może i powinna pójść na skróty, korzystając z możliwości rewolucji technologicznej. Nie uda się to bez zachodniego doradztwa i wykształconych w zachodnim duchu kadr. Ale wymaga to przede wszystkim uruchomienia strategicznych projektów w kraju, które posłużą jako koła zamachowe dla systemu gospodarczego, reformy edukacji i zarządzania państwem. Te pomysły nie urodzą się za granicą. Muszą być stworzone w Armenii. Armenia potrzebuje w nich jasnej wizji nowego początku.

Każdy naród wie najlepiej, co jest dobre dla jego przyszłości. Żadnemu narodowi nie podoba się, kiedy coś jest mu narzucane.

Jednak w połączonym świecie, w którym narody coraz częściej próbują rozwiązywać podobne problemy, pomocny może być przyjazny ogląd z zewnątrz. Amartya Sen, rozwijając swoje pomysły na globalną sprawiedliwość, wprowadził koncepcję „kontroli ze strony odległych nieznajomych”. Twierdził, że narodowe zamknięcie czasami utrudnia wypracowanie krytycznych poglądów, które są niezbędne, aby zapewnić stabilny rozwój.

Nawet drobne społeczne lęki mogą czasem uniemożliwiać rozwój. To prawda, że wiele osób w Armenii nadal obawia się zmian. Są tam dziś ludzie, nawet w ważnych instytucjach, którzy woleliby odbudować status quo ante. I niektórzy z nich korzystali obficie z możliwości starego systemu. Nie odczuwają przy tym nawet wstydu za to, co robili w przeszłości. A niektórzy przedstawiciele ancien régime'u nadal chcą wrócić na szczyty władzy. I mogą tego dokonać. Doświadczenie wielu krajów porewolucyjnych pokazuje, że pamięć ludzka może być w wymiarze politycznym bardzo krótka i wybiórcza.

Rewolucja 2018 r. stała się historyczną szansą na wyzwolenie Ormian z syndromu wyuczonej bezradności. Mogli uwierzyć, że życie w Armenii da się zmienić. Rolą zagranicznych przyjaciół w Armenii było po prostu utrwalić ich w tym przekonaniu.

Bezwładność starych sposobów i nawyków jest w wielu społeczeństwach źródłem chronicznego imposybilizmu. Dwa lata po rewolucji społeczeństwo armeńskie powoli zbliża się do momentu krytycznego. Ormianie zasługują na to, aby uniknąć pułapki powrotu do starego myślenia.

I zasługują – niech to zabrmi jako osobiste *ceterum censeo* autora – na włączenie do unijnego programu liberalizacji reżimu wizowego.

REKOMENDACJE DO DZIAŁANIA

Każdy poważny raport dyplomatyczny powinien kończyć się zaleceniami politycznymi. Uważny czytelnik zauważył już kilka z nich na poprzednich stronach tego eseju.

Najbardziej strategiczne rekomendacje wymagałyby od Unii Europejskiej ożywienia i wzmocnienia koncepcji „szerokiej Europy” oraz ponownego zdefiniowania w niej swojej roli. Z powodu brexitu nawet najbardziej zagorzali zwolennicy uczynienia Unii Europejskiej permanentnie ekspansywnym projektem paneuropejskim musieli zredukować swoje ambicje. Ale wspólna europejska tożsamość jest faktem i wymaga aktywnego pielęgnowania od strony politycznej. Armenia jest dobrym przykładem kraju, który nie wyraża jeszcze celu przystąpienia do Unii Europejskiej, ale chce czuć się pełnoprawnym członkiem większej europejskiej rodziny. Unia Europejska powinna opracować strategię współpracy z podobnymi jej państwami europejskimi zarówno w wymiarze regionalnym, jak i na forach globalnych oraz rozważyć, jak wykorzystać w tym celu instytucje takie jak Rada Europy, OBWE i inne. Zbyt często siła i możliwości UE nie są w Strasburgu i Wiedniu doceniane. A niektóre europejskie fora dyplomatyczne są nadal traktowane przez Europejczyków jako miejsca rozładowywania narodowych kompleksów i dowartościowywania narodowego ego. UE mogłaby zrobić więcej, aby zmobilizować wspólny paneuropejski głos (wspólnie z państwami pozostającymi poza Unią) na forum globalnych instytucji.

Unia Europejska powinna zwiększyć wsparcie dla Partnerstwa Wschodniego, uwiarygadniając jego pragmatyczny

wymiar. Jednocześnie należałoby, aby Unia angażowała się bardziej w promowanie więzi w regionie, jak choćby dwustronnych kontaktów między Gruzją i Armenią. Powinna sprzyjać powstawaniu pomysłowych inicjatyw, które obejmowałyby wszystkie trzy kraje Kaukazu Południowego. Niektóre aspekty, jak np. pomoc w przypadku katastrof naturalnych, wymagają podejścia regionalnego mimo istniejących problemów dwustronnych. Kwestie takie jak bezpieczeństwo energetyczne i połączenia infrastrukturalne również wymagałyby bardziej skoordynowanych wysiłków regionalnych wspieranych przez Unię Europejską.

Rozwiązanie konfliktu wokół Górskiego Karabachu powinno plasować się wyżej na agendzie działań zewnętrznych UE. Podczas gdy mediacja powinna spoczywać wyłącznie w rękach współpracowniczących Grupy Mińskiej, UE mogłaby pozwolić sobie na większe zaangażowanie polityczne we wspieraniu postępu w procesie pokojowym. Unia powinna bardziej angażować się w dążenie do normalizacji stosunków turecko-armeńskich bez warunków wstępnych.

UE i jej państwa członkowskie powinny skoordynować swoje fundusze rozwojowe i pomoc techniczną wokół celów odzwierciedlonych w CEPA. Grupa przyjaciół CEPA (którą tworzyłoby przedstawiciele instytucji UE i zainteresowanych państw członkowskich) zarówno w Brukseli, jak i w Erywaniu powinna zapewnić stałą platformę koordynacji i wsparcia politycznego dla reform.

Państwa członkowskie UE powinny zwiększyć liczbę swoich przedstawicielstw dyplomatycznych w Armenii i zintensyfikować kontakty z Armenią na szczeblu politycznym. Należy

wzmocnić wydział polityczny delegatury UE. Przywódcy Armenii powinni otrzymywać więcej zaproszeń do składania wizyt w stolicach europejskich. Europejska Służba Działań Zewnętrznych powinna opracować model konsultacji technicznych z Armenią w sprawach globalnych i europejskich. Dobrym przykładem są konsultacje z innymi państwami przed rozpoczęciem każdej nowej sesji Zgromadzenia Ogólnego Organizacji Narodów Zjednoczonych. Dialog, zgodnie z postanowieniami CEPA, powinien również obejmować obszar bezpieczeństwa. Jeśli UE chce być postrzegana jako ważny podmiot polityczny w regionie, musi udowodnić, że jest realnym graczem na polu bezpieczeństwa.

UE powinna nadal wzmacniać swój pozytywny wizerunek wśród ludności Armenii, a jednocześnie wspierać te środowiska i ruchy, które wyrażają wyraźne proeuropejskie stanowisko i łączą przyszłość Armenii z Europą. Ograniczanie się tylko do demaskowania fałszywych wiadomości i wrogiej antyeuropejskiej propagandy nie może wystarczać. UE nie powinna bać się otwartego wspierania ducha europejskiego w Armenii.

Ocena polityki rządu powinna być ze strony europejskiej uczciwa. Po rewolucji Zachód łagodnie traktował nową ekipę rządzącą, powstrzymując się od otwartej krytyki, gdy dochodziło do opóźnień we wdrażaniu wspólnego programu. UE powinna jasno określić, że nie stawia na postaci polityczne, lecz na kurs reform. Politykę władz, która odbiega od wartości europejskich i wspólnego programu, należy w odpowiednim czasie poddać krytycznemu osądowi.

I wreszcie, Armenia powinna zostać włączona do programu liberalizacji reżimu wizowego.

Były to wybrane rekomendacje do działania dla strony europejskiej. Sformułowanie tutaj podobnych zaleceń politycznych dla armeńskich partnerów wykraczałoby być może poza ramy poprawności politycznej. Opracowanie jasnej i realistycznej agendy wobec Europy i przekazanie jej w sposób zrozumiały europejskim partnerom niech pozostanie ich suwerennym zadaniem.

28 maja 2020 r.

Książka *Armeńska rewolucja: niedokończony raport* zawiera podaną w eseistycznej formie analizę sytuacji politycznej i przyczyn masowych protestów w Armenii wiosną 2018 r., które doprowadziły do zmiany władzy politycznej w tym kraju.

Autor opisuje mechanizmy ukształtowania się w Armenii posowieckiego modelu państwa i procesu narastania niezadowolenia społecznego. Szczegółowo relacjonuje przebieg wydarzeń rewolucyjnych widzianych oczyma zachodnich dyplomatów. Opracowanie odnotowuje sukcesy nowej ekipy politycznej w reformowaniu państwa, ale także doświadczane przez nią trudności, w tym związane m.in. z oporem starego układu polityczno-biznesowego.

Autor analizuje geopolityczne uwarunkowania procesu reform w Armenii. Pisze o znaczeniu czynnika konfliktu w Górskim Karabachu. Esej odnosi się do ewentualnego wpływu wydarzeń w Armenii na rozwój sytuacji w innych państwach postsowieckich.

Część końcowa zawiera sugestie i zalecenia odnośnie do polityki Unii Europejskiej i działań Polski w regionie, a wobec Armenii w szczególności.



ISBN 978-83-66091-56-6



9 788366 091566